№ 12 Warszawa, dnia 7 (19) Marca roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBOT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

TREŚĆ: Wanda. — Droga do Serca. — Pragnienie. — Trzy miesiące w Chorwacyi. — Nowe wydawnictwa. — Z kraju i z zagranicy.
W Dodatku: Tak blizko szczęścia (przekład z francuzkiego) J. B.

WANDA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

Na podaniach polskich osnuty,

napisany wierszem rymowym

przez

JÓZEFA GRAJNERTA.

Z muzyką do kilku pieśni

ś. p. St. Moniuszki.

(Wykończony ostatecznie w Warszawie d. 26 Września 1880 r.)

Akt I.

(Dalszy ciąg).

Scena trzecia.

DYBALD *(sam).*

Śpiesz się! Żyźniejsze będę ja żął plony,
Spiesz się, podrzutku, pychą oślepiony!
Krakus już gaśnie... Z Wandą rzecz uładzę,
Ty zgładź Lumira, a ja ciebie zgładzę.
Dziś z rąk mych wyjdźcie chytre szpony kota,
Niechaj nakarmię Lechów zemstą Gota!
Łupcie-ż rodowe drzewo swym toporem,
Aż przyjdzie ktoś, co obłowi się wiórem...
Tak naród Gotów, wielki, syty sławy
Wasze zbiesione przegnały obławy,
I ci, co zwarli świat strasznemi pęty,
Krwią własną Wisły zbarwili odmęty.
Dziś sam w tych stronach, jako pieśń w rubieży
Żyję odarty z książęcej odzieży,
Sam, ja ostatni kuningów potomek,
Przywdziałem suknię, wrzkomo Lechów ziomek —
Suknię podłego gęślarza! I ona
Pęka pod biciem zgniewanego łona,
A jam nie doszedł do krawędzi celu!
Lecz prędzej język mi zgnije w gardzielu,
Prędzej pierś zsuszę na wiór w strasznym głodzie,
Niż spocznę w lisim mej zemsty pochodzie!
Zemsto! tyś słońcem w zwątpienia otchłani,
Zemsto! tyś napój w mej sierocej krtani,
Zemsto! zwiastunko mej wielkiej rozkoszy,
Niech cię jęk śmierci, ból zdrady nie płoszy.
O! górne bogi gockich władzców świata,
Czyż was nie sroży krocich ofiar strata,
I chór ołtarzów przez Lechów zburzony,
Niegdyś dymiący z nadwiślańskiej strony?!

(Słychać tentent koni.)

GOTSCHALK *(za sceną).*

Czekać mnie z końmi nad rzeką wśród kniei.

Scena czwarta.

Dybalt i *Gotschalk.*

GOTSCHALK *(wchodząc).*

Witaj mi, Gotów potomku jedyny,
Przyszły żupanie lechickiej krainy!
By schwycić pasmo osnutych nadziei,
Noc całą jadę, czy staję na dobie?

DYBALT.

O Rytogorze myślałem w tej porze:
Nadzieje ziszczą się na Lechji grobie;
Lecz nim gór szczyty skraszą ranne zorze,
Śpieszyć nam trzeba.

GOTSCHALK.

Jakiż więc stan rzeczy?

DYBALT.

Podwójna droga do zaboru wiedzie:
Wstępnym najazdem zmódz wrogów władarza,
Lub gdy ma córę, iść z nią do ołtarza;
Drugą zalecam dziś stawić na przedzie,
I tę Rytogar niech ma dziś w swej pieczy.

GOTSCHALK.

Skłonna-ż mu Wanda? czy Krakus zezwoli?

DYBALT.

W tej mierze króla badałem powoli,
Skłaniałem Wandę do swadźby weselnej;
Lecz jest tam Bogdal, junosza tak dzielny,
Że kładzie tura jarego za rogi.
Mówią, że mlekiem niedźwiedzi karmiony,
Bo go znaleźli w gnieździe niedźwiedzicy;
Potem go dworzan wychowały żony.
Wzrósłszy w pacholę, wszedł w zamkowe progi,
Gdzie się też wgłębił w serce cud-dziewicy;
Wierz mi Gotschalku, w mem tułactwie całem
Tak wabnej dziewy jeszcze nie widziałem:
Piękna jak bóstwo, ma roztropność węża,
I dłoń stworzoną do dzid i pawęża;
Atoli prędzejby, w dumie zuchwała,
Stu czarnych biesów niż Niemca kochała;
Król zaś na samo tej rzeczy wspomnienie
Miota się wściekle jako żubr zraniony,
Przysięga, póki w piersiach żywi tchnienie,
Zemstę za przeszłych najazdów zagony.

GOTSCHALK.

O! na Wodana, klnę się boga wojny,
Lachy! niedawno Gotów niewolniki,
Sasów i wszelkich Germanów lenniki,
Gdy wam Rytogar stanie w oczy zbrojny,
Ujrzym, czy wasze tarcze trójskórzane
Ostoją zbrojom żelaznym Allmanów,
Czy wały król wasz, knechty nadwiślane,
Bronić mu dłużej będzie ręki córy,
Gdy waszym Leszkom ślubny wian z kajdanów
Przyniosą naszych wojsk gromowe chmury!

DYBALT.

Słuchaj! cierpliwość zamiary ostala.

Zaprawdę, Wanda miłuje Bagdala,
Innemu wieńca nie da z dobra-woli,
I oń przez boje dobijać się zdradnie; —
Lecz nic od smoczych paszcz ją nie wyzwoli...

GOTSCHALK.

Jakto?

DYBALT.

Wiesz, przecie, jak smok, potwór płonny,
(Którego istność tu zmyśliłem snadnie).
Okropnym strachem naród zabobonny
Zmroził, że nikt tam z przechodniów nie stanie,
Kędy czernieją Wawelu otchłanie.
Sądząc, że bóstwu, pomrokiem w obiecie
Kmieć stawia bydlę, dziewy trzęsą kwiecie,
Potwór zaś, wielka dla gminu zagadka,
O którym klechdże przedświatowa gadka,
To bóstwo siedmiu łbami najeżone,
Dziś nam posłuży matnią na koronę;
Bo ja przy każdem ofiary paleniu
Wiarę w potwora stwierdzam w dziękczynieniu,
Grożąc zarazem ślepym rzeszom karą:
Że całe miasto schłonie smok Wawelski,
Jeśli mu jedną uchybią ofiarą.

GOTSCHALK *(wesoło)*.

Wielce mnie cieszy ten wymysł djabelski.

DYBALT.

Ten wymysł dzisiaj stawi nas u celu.
Idźże, mój druhu w otchłanie Wawelu;
Znajdziesz tam więcej naszych z krwi i kości,
Co skrycie Lachów tępią bez litości
Ludzie tam ścieżką dziś pójdą o świcie
Przez gąszcze bóstwu nieść będą objaty;
Wam wtedy z pieczar trza wypaść na łowy, —
Dwom, trzem przechodniom zręcznie wydrzeć życie,
Ciała do Wisły wrzucić, a ich szaty
W strzępach zawiesić na skale jaskini.

GOTSCHALK.

Lecz długo-ż będę żył tam życiem sowy?

DYBALT.

Wiele ten zdziała, co cierpliwie czyni.
Stary król wiece dziś zagajać będzie
W gaju Peruna, ważne, bo ostatnie...
A gdy w przedpróżu świątyni usiędzie,
Ja mam na starca już gotową matnię:
Smok nam wypełni tajemnicze plany, —
Król mu swą córę dać musi w ofierze.
A wtedy dłoń twa ofiarę zabierze,
I tanim kosztem zwyciężą Allmany.

GOTSCHALK.

Myślisz, że w postrach król wierzyć gotowy?

DYBALT.

Tak jest! byt smoka wcale tu nie nowy:
Wieczności symbol potężny, zwycięzki —
Bóg nasz najwyższy był w smoczej postaci.
Cześć jego tutaj wszystkie Gotów klęski
Przeżywszy, pomści hańbę swych współbraci, —
A gdy król wstąpi na uporu skały,
Wtedy mu wieszczą krzywulą pogrożę.
(Wstrząsa laską.)
I lud sam skruszy tronowe zawały.
Lud ten w spokoju, to faliste zboże:
Gnie się pod wiary powiewem do ziemi;
Ale zahuczy jako huragany,
I pójdzie wszędy z szpony rozwartemi,
Gdy wieszcz mu wskaże ołtarz pokalany.
Lecz patrz! gwiaździstych b a b już rój się chyli, —
Pośpiesz do pieczar w płaszcz nocy odziany,
Nim jutrznia w rannej przebudzi się chwili, —
Spraw się i dalsze już na mnie złóż plany.

GOTSCHALK.

Dziś więc nam Wandę smocza da pieczara.
Dybalcie! ufaj w pamięć Rytogara.
(Wychodzi.)

DYBALT *(sam)*.

Żadnych mi danków już dziś nie potrzeba...
Was tylko błagam, gromowładne nieba!
By ów Rytogar przez me współdziałanie
Gniazdo Krakusa pogrążył w otchłanie.
Niech miecz najezdcy najdalszych dosięże,
Niech w lisich norach głodem zdusi męże.
O! wtedy marszczki me uśmiech spromieni,
Takiej wdzięczności pragnę za me trudy:
Niech po kolana mnogich Polan ludy
Grzęzną śród własnej posoki strumieni.
Tak! harde chłopy, wy upaść musicie;
Nie wam z pod mocy wymknąć się Germanów,
Wam w służebnictwie u nich pędzić życie,
U was pług, u nich miecz wszechwładny panów!
(Świta.)
Co? błyszczą zorze... na modły w tę stronę
Lud pójdzie... Śpieszmy pod lasu osłonę.
(Wychodzi. Coraz się więcej rozwidnia. Słychać sielski śpiew dziewcząt.)

Scena piąta.

(Wchodzą: Wanda i Lubonia, zwijając z kwiatów wieńce.)

WANDA.

Patrz! jak tam ślicznie wschodzi nad lasami
Górzystych jodeł słoneczna twarz boga,
I ust promiennych wita całusami
Fale Wisełki naszej. Cisza błoga
W powietrzu, w lesie i na ziemi całéj
Wieści nam blizką, uroczystą chwilę:
Dziś skroń Lumira zwieńczy pełna chwały
Korona, ja mu ją w kwiecie umilę.
Nieśmiertelniki z bławatkami splotę,
Jako na niebie modrem gwiazdy złote;
Płonące róże jak wieczorne zorze,
Ale bez cierni, tu i owdzie włożę;
Wszystkie uczucia, jakie w sercu żywię,
Splotę mu w wieniec, niech rządzi szczęśliwie.

LUBONIA.

Oby mu szczęście wróżyły te kwiatki!
Szukałam w lesie ł a s k a w c a daremno,
Kwiat ten gdzieś zniknął... Czyby do tej chatki
Nie zakołatać królewno? Tajemną
Wróżka tam wiedzę ma o wszystkiem w świecie, —
A to kwiat dobry!

WANDA *(wciąż zwijając wianek)*.

Zakołacz.

LUBONIA *(stuka)*.

Otwórzcie,
Wróżko, otwórzcie! Powiedzcie, gdzie kwiecie
Łaskawca znaleźć? *(Stuka znowu.)* Pomóżcie
Szukać nam kwiatków.

WANDA.

Przestań; znać, jest w boru.
Czyś nie widziała dziś w dworcu Bagdala?

LUBONIA.

Z wczorajszych gonitw nie wrócił do dworu.
Szło mu też dzielnie; patrzałam nań zdala,
Wszystkich wyminął na rączej cisawce.

WANDA.

Tak, nawet Lumir i Leszek o staje
Zostali za nim, on przez pola, gaje
Pędził jak wicher.

LUBONIA.

Jak w płochej zabawce
Oszczepem wieńce zrywał w całym pędzie,
Już to mąż piękny dla królewny będzie.

WANDA.

Już mąż? Czyż nie wiesz, że często kochanie
Od ślubu dzielą zrządzeń zmienne fale?

LUBONIA.

Fale opadną.

WANDA.

Lub stworzą otchłanie...

LUBONIA.

Prędzéj czy później ślub będzie na pewno;
Czyż nie wart tego? Czyż nie kocha stale?

WANDA.

Tak, stokroć serca i ręki mej godzien;
Milszym, ach! droższym staje mi się codzień
Słodki niepokój, ta rozkoszna trwoga,
Gdy oczekuję na przyjście Bogdala,
A gdy go ujrzę, patrzę weń jak w boga;
Zda się, że w modrych mu oczach zapala
Niebo dwa słońca li dla mnie płonące...
Czy ty, Lubonio, znasz, co to kochanie?

LUBONIA.

Nie, i nie pragnę takiego gorąca,
Co serce pali: ale co się stanie,
Czyż ręczyć można? Wszak zimne przechwałki
Umieją ranić Lubczykowe strzałki;
Z bożkiem, co miłość swawolnie rozdaje,
Żartować zdradnie!

WANDA.

Patrz! już wieniec mają
Liściem dębowym. Więc nie chcesz upału
W swém sercu? Lecz czyż bez upałów może
Co wzrosnąć w świecie? Te drzewa, to zboże,
Co tak wśród chłodów kiełkują pomału,
Mogłyżby dojrzeć, a kwiat wydać miody,
Gdyby nie było upałów, pogody?

LUBONIA.

Pogodę lubię; lecz się ognia boję,
Co w duszy nieci trwogę, niepokoje,
Wszak każdy pożar straszny jest dla ludzi;
Szczęśliwy, kto się niby dziecko łudzi,
Że go przytłumi, jak zechce.
(Patrząc w las.)
Królewno!
Ktoś śpieszy w zbroi.

WANDA.

Bogdal! Lecz cóż znaczy
Ten pośpiech?
(Ściemnia się.)

BOGDAL *(wpadając pomieszany)*.

Byłem, najdroższa, w rozpaczy;
Czy nic w tej dzikiéj puszczy nie słyszycie?

WANDA.

Nic, oprócz ptaków śpiewu, wiatrów tchnienia.

BOGDAL.

Lecz w kniejach wilków rozlega się wycie,
Słońce, patrz! walczy tam z smokiem zaćmienia, —
A smok wawelski, jak lew pośród łowu,
Mówią, że ryczy, że jest głodny znowu.
Lud huczy w dole! Ach drżałem o ciebie,
Szukałem wszędy; gdy ci miłe życie,
Wyjdź ztąd.

WANDA.

Z tych znaków na ziemi i niebie
Wróżysz, że coś się złego dzieje skrycie?
O, jasne myśli moje się nie chmurzą,
Swobodne, jako po kwiatach motyle,
Roją się lubo; nagle szczęsne chwile
Wicher ma spłoszyć!?

(Coraz ciemniéj, grzmi.)

Pójdźmyż walczyć z burzą;
Z dłońmi twojemi splotłszy dłonie swoje,
Gotowam wyzwać cały świat na boje;

(Błyska się: Piorun uderza zblizka.)

Wbrew tym ognistym wężom, będę mężna!

BOGDAL.

Jako bliźniaczych bóstw dwójca potężna,
Świat cały weźmiem na barki i każem
Słońcu i gwiazdom, z wschodu do zachodu
Świecić nad naszych serc dwojga ołtarzem.
Czy słyszysz?... krzyki znów biegną od grodu.

(Wychodzą. Burza nie ustaje.)

LUBONIA.

Oby ich szczęsne gwiazdy jak najdłużéj
Wiodły zdaleka od gromów i burzy!

(Wychodzi.)

Koniec aktu pierwszego.

(D. c. n.)

DROGA DO SERCA.

NOWELLA

przez

C. Lynn Linton.

Tłomaczyła z angielskiego

ZOFJA MARYA B.

(Dalszy ciąg).

Gdy ją spytał jakie były przekonania religijne Miss Calvert: czy popierała świetność rytualizmu, czy badawczego ducha protestantyzmu, czy też wzniosłą szlachetność Kościoła powszechnego? Czy ją zajmowały sprawy biednych owieczek parafialnych, czy też wolała wywierać wpływ na ludzi własnej swej sfery, ludzi wykształconych, bo nie potrzebował się nawet pytać, czy się nie oddawała złudzeniom ascetyzmu, gdyż tryskające z jej postaci zdrowie i wspaniały rozwój fizyczny, starczyły naprzód za odpowiedź! lub jakie były jej poglądy co do podziału bogactw? Mrs. Marsh dawała na to wszystko odpowiedzi nic nie znaczące i ani razu prawdziwe; raz tylko jeden zbliżyła się ku granicom prawdy, gdy zapewniała z milutkim śmieszkiem, że Miss Calvert należała do nowej szkoły, której zasadą było nienawidzieć mężczyzn, samej dawać sobie radę w świecie i nigdy nie wychodzić za mąż.

— Nie wygląda na to, aby mogła kogokolwiek nienawidzieć, rzekł słodko Mr. Tufnell, gdy Julja ukazała się oparta na ramieniu Ralfa Mattisona ze swą promienną twarzyczką lekko zarumienioną, ze swemi prześlicznemi oczyma pełnemi ognia i blasku, z całą postacią jaśniejącą życiem i młodzieńczą siłą. Nienawiść jest to uczucie zostawione dla starych dziwaków, a nie dla takiej wspaniałej istoty, dodał z zapałem.

— Nie daj się pan zwieść pozorom, rzekła spokojnie Mrs. Marsh. Julja, jak to mówiłam, z zasady nienawidzi mężczyzn i jeżeli kiedykolwiek pójdzie za mąż, to tylko za kogoś, co zechce stać się jej niewolnikiem.

— Zadanie niezbyt uciążliwe, ani stanowisko zbyt przykre, rzekł miękko Mr. Tufnell. Słodko jest dźwigać takie jarzmo.

Mrs. Marsh spojrzała nań bystro.

Miała ona ładne ciemne oczy, czarne, kręcące się włosy, które wiły się w ślicznych loczkach nad nizkiem czołem, ładne usteczka, odrobinkę zanadto cienkie, i ładną bródkę, odrobinkę zanadto ostrą; razem wziąwszy, była to bardzo przystojna osóbka, której opiekowanie się tak wspaniałą młodą istotą, jaką była Julja Calvert, wyższa od niej o głowę i mogąca ją unieść jedną ręką jak lalkę, wyglądało na żart.

— Jest to bardzo pięknie z pana strony że tak przypuszczasz, rzekła z czarującym uśmiechem. Teraz jestem zupełnie pewną, że droga moja Julja stanie się pańską przyjaciółką. Ona to właśnie lubi uległość, bezwarunkową uległość.

Właśnie to mówiła półgłosem, gdy świetna i promieniejąca właścicielka Beechover'u wróciła do swej opiekunki, uśmiechając się do niej wesoło i uwalniając Mattisona, aby dać posłuchanie Tufnellowi.

Nadeszła teraz jego kolej, i niedługo był już zatopiony w rozmowie o parafii, o biednych, o uczynkach miłosierdzia i t. d. Miss Calvert nadała sama ten kierunek rozmowie, bo należy oddać sprawiedliwość naszemu wikaremu, że znajdując się w towarzystwie, z największem staraniem unikał „rozkładania swego towaru", jak mówił troszkę złośliwie kapitan Luxmoore, i nie więcej przejmował się świętością swngo powołania, niż każdy inny pospolity śmiertelnik. Lecz ponieważ Miss Calvert postawiła go na tem poważnem stanowisku, nie pozostawało mu nic innego, jak zastosować się do jej życzenia.

Ona znalazła go znośnym, a on ją hojną. Obiecała mu dać cały szereg podpisów i zdawała się chętnie brać udział we wszystkiem, co nazywał słodko „siejbą dobrych uczynków". Lecz był do tyla bystrym, że spostrzegł odrazu, iż zawsze zaczynała zdanie od „ja" i że tylko żądała objaśnienia, a nie rady. Widocznie nie potrzebowała kierownika, i Mr. Tufnell przyznał, że Mrs. Marsh miała słuszność, pozostawała mu tylko uległość.

Przez cały ten czas kapitan Luxmoore nie brał udziału w polowaniu jakie się już rozpoczęło. Stał oparty niedbale o ścianę, rozmawiając z tymi, co się do niego zbliżali, lecz ani myślał stawać do współzawodnictwa z dwoma rywalami, co już wystąpili do ataku, i zdawało się, że nawet nie dbał o to, jakie uczyni pierwsze wrażenie. Za to Miss Calvert często ku niemu spoglądała, gdy stał tak odosobniony od reszty tłumu. Był zanadto przystojny i dystyngowany, aby go było można nie spostrzedz i jego obojętność dotykała ją głębiej, niżby to była kiedykolwiek przypuściła. Kompletnie ją niecierpliwił i drażnił, zdawał się odbierać jej połowę przyjemności i więcej niż połowę powodzenia jakie miała tego wieczoru. Nie mogła tego pojąć, mówiła do siebie i nie powinna była na to pozwolić; chociaż to, co miała uczynić, przedstawiało się prawie tak mglisto w jej umyśle, jak to, na co nie miała zezwolić. W każdym razie była bardzo rozdrażnioną i kapitan to spostrzegł.

— Uważam, że Kapitan Luxmoore postępował że mną bardzo szorstko, rzekła z niezadowoleniem do swej towarzyszki, gdy wracała do domu.

— I ja tak myślę, rzekła Mrs. Marsh Lecz w ogóle był to ładny wieczór.

— Tak, dosyć, odparła. Mr. Mattison jest sztywny jak drewno, a Mr. Tufnell jest ograniczony.

Towarzyszka jej roześmiała się.

— Masz słuszność, Juljo, odrzekła; pierwszy jest, jak mówisz, jakby wyciosany z drzewa, a drugi jak kloc nieociosany.

— Lecz jest przytem bardzo przyjemny, a Mr. Mattison jest bez zaprzeczenia przystojny, rzekła Julja, zmieniając nagle zdanie.

— Czy naprawdę tak myślisz? spytała Mrs. Marsh z zadziwieniem.

— Czy tak myślę? Ależ rozumie się! Któżby mógł myśléć inaczej? zawołała Miss Calvert, spuszczając okno od karety, bez względu na to, czy jej towarzyszka lubi mroźne, nocne powietrze, czy nie. Za to kapitan Luxmoore jest nieznośny.

— Istotnie nieznośny, najdroższa!

— Lecz przystojniejszy niż Mr. Mattison, dodała Julja mięknąc. A jakie ma przepyszne oczy! jak szlachetną postawę!

— Strzeż się, Juljo! zaśmiała się Mrs. Marsh. Kiedy się nim tak zachwycasz, to jeszcze gotów cię nam porwać ów piękny kapitan.

— Jak możesz mówić podobne niedorzeczności! wybuchła dziedziczka, która znała od wielu lat swoją obecną towarzyszkę i traktowała ją jak siostrę. Zawsze tylko myślisz o miłości i o małżeństwie. To nieznośne! Dziwię ci się, Hetty; jest to tak w złym guście, i do tego pomyśléć coś podobnego o *mnie*!

— Przebaczenia! zawołała Hetty Marsh, połyskując ciemnemi oczyma.

Po owym balu zdawało się, że cała okolica oszalała za Miss Calvert. Imię jej było na ustach każdego i zdawało się że zrobienie jej przyjemności stało się celem życia całego sąsiedztwa. Freshfield'owie dali obiad, Vernons'owie bal, Power'owie śniadanie, Paget'owie *une soirée*, De Lacy Smith'owie urządzili teatr amatorski, Du Marc Brown'owie żywe obrazy, a wszystko na jej cześć; listy zapraszające krążyły po całej okolicy, jak owe sławne liście z Vollombrosy. Mr. Tufnell dostał gorączki, układając całą sieć planów, której celem było uczynienie Miss Calvert swoją prawą ręką; lecz widocznie, projekt ten nie bardzo się podobał pięknej pannie, gdyż odrzuciła pogardliwie jego rady. Gdziekolwiek się znajdowała, wszędzie musiała być samowładną panią, a nie pomocnicą mężczyzny. To też młody ksiądz o Rafaelowskiej twarzy niejedną godzinę poświęcił rozmyślaniom, jakby sobie zapewnić jej materyalną pomoc, nie obrażając dumy, a przytem zachować w obec świata pozory samodzielności. Toczyła się w nim walka przeciwnych sobie prądów, co jednak bynajmniej humoru mu nie psuło.

Mr. Mattison, jako właściciel licznej psiarni, prosił, aby zechciała przyjąć rolę Dianny i zaproponował nowe kostiumy do polowania, odpowiednie do tego mitologicznego pomysłu; Julja zgodziła się na to chętnie, z otwartością ładnej kobiety lubiącej aby pamiętano o jej urodzie. Zezwolenie to uczyniło Esquira bardzo szczęśliwym i marzył już naprzód o ulepszeniach jakie zaprowadzi w Beechover, gdy stanie się jego właścicielem; Shoreham bowiem miał zamiar wypuścić w dzierżawę na dwadzieścia jeden lat, a następnie miał je oddać najstarszemu synowi, którym nieba miały pobłogosławić ich związek. To też gdy wydał śniadanie inauguracyjne, na którem Dianna królowała, tak wyraźnie objawił jej swe uwielbienie, że ludzie zaczęli już mówić o tem jako o rzeczy nie ulegającej wątpliwości, a nawet niektórzy naznaczali już naprzód dzień ślubu.

Śniadanie i nowe kostiumy zdystansowały wikarego. Wiedział on dobrze jak próżną jest ludzkość i jak ubiega się za marnościami tego świata, których w sobie nie zawiera „życie wyższe”, tak bowiem nazywał swą drobną działalność parafialną w której nie było nic wyższego, prócz głębokiej czci, jaką sam dla siebie uczuwał. Kasy oszczędności i schronienia dla kalek niewiele przedstawiają interesu dla pięknych i ruchliwych panien w porównaniu z myśliwskiemi śniadaniami i emblematycznemi kostiumami; skarżył się więc boleśnie przed Mrs. Marsh, nierozważnie okazując jak czuł się pobitym i upokorzonym.

Miss Calvert była kobietą, to też okrutnie się obchodziła z ludźmi co u jej stóp wzdychali, ponieważ bawił ją widok młodego wikarego, wyglądającego tak, jak gdyby świat, razem ze wszystkiem co się na nim znajduje, miał być oddany szatanowi na wieczne zatracenie z tego tylko powodu, że gwiazda Ralfa Mattisona była u swego zenitu; zupełnie tak samo, jak bawił ją widok bezmiernego zadowolenia, z jakiem Esquire opalał skrzydła u jej świecy. Igrała z obydwoma, nie dbając o żadnego. I tak: gdy zaprowadziła wikarego do tak głębokiego ukorzenia, że zapominał prawie o swej kapłańskiej godności, wtenczas odwracała się od niego wyniośle i mówiła mu, że duchowny powinienby mieć bardziej stałe zasady i nie ustępować przed zdaniem tak niedoświadczonej dziewczyny, jaką ona była. Gdy dopuściła Mattisona niemal do wyznań miłosnych, nagle rzucała mu mroźne spojrzenie i mówiła, że jeśliby kiedykolwiek poszła za mąż, to tylko za para, a gdyby pospolity śmiertelnik ośmielił się jej oświadczyć, uważałaby to za obelgę, któraby zakończyła ich znajomość. Tymczasem za następnem spotkaniem okazywała się dlań najsłodszą czarodziejką, jaka kiedykolwiek istniała, promieniejącą uśmiechami i wdziękiem, a przytem tak łaskawą, czarującą i uprzejmą, że odurzony Esquire zupełnie tracił głowę i nawpół przypuszczał, że była w nim szalenie zakochana i że życzyła sobie aby jej się oświadczył lada dzień. Próbowała czynić toż samo z kapitanem Luxmoore, lecz naprożno. Trzymał się z daleka i nie dawał się ani oczarować, ani upokorzyć. Nie mogła uczynić na nim najmniejszego wrażenia „*grands airs*”, które zachwycały Ralfa, a imponowały wikaremu, były przez niego traktowane jako dziecinne dąsy i minki, wprawdzie bardzo ładne, lecz nie warte głębszej uwagi. Kiedy wychwalała swą niezależność, uśmiechał się spokojnym, pełnym wyższości uśmiechem i mówił, że ludzie zwykle tak robią, pysznią się z tego, co najmniej posiadają: czyż nie była kobietą? Jakże więc można być niezależną? Gdy się gniewała, zasłaniał się nieprzebitym puklerzem chłodu; jeżeli stawała się dumną i nieprzystępną, traktował ją z zimną grzecznością; jeżeli zdawała się nim pogardzać, zapominał o jej obecności, lub też przyjmował jej pogardę z obojętnością, przyprowadzającą ją niemal do rozpaczy; gdy się do niego uśmiechała, odpowiadał jej podobnież uśmiechem, lecz pełnym poważnego spokoju; tak więc ani chłodem, ani czemś co nie było chłodem, nie mogła go wzruszyć. Zawsze był samym sobą, a nigdy jej igraszką; ani dał się oczarować jej uśmiechem, ani też lękał się jej gniewu; razem wziąwszy, stawał się dla niej najbardziej drażniącą zagadką, dla rozwiązania której robiła wszystko co mogła, lecz wszystko naprożno!

Głęboko raniło ją jego postępowanie i codziennie skarżyła się na to swej towarzyszce.

— Postępuje ze mną niegrzecznie! mówiła do Hetty Marsh z zarumienionemi policzkami i płonącemi oczyma; a Hetty zawsze odpowiadała ze współczuciem:

— Tak jest, najdroższa, bardzo niegrzecznie!

Mądra ta osóbka ani myślała koić rozdrażnienie pięknej swej pupilki. Szczęśliwa była, że mogła się pozbyć chociaż dwóch swych nieprzyjaciół: wikarego, którego wprowadziła na fałszywą drogę i kapitana, dla którego rozszerzyła przepaść, jaką sam dla siebie wykopał. Mattisona nie obawiała się. Zanadto miał wiele pewności siebie, a Julja lubiła we wszystkiem dać się prosić. Potrzebowała także aby ktoś nią rządził, lecz w sposób tak subtelny i tak ustępując wszystkim jej zachciankom i kaprysom, aby się tego nigdy nie domyśliła. Lecz zanim się znajdzie ktoś, coby potrafił tak mądrze pokierować jej „ukochaną Julją”, Hetty była spokojną i miała zapewnione jeszcze na kilka lat zbytkowne utrzymanie i piękną pensyę, którą pobierała za udzielaną przez siebie tak zwaną „opiekę”.

Część II.

Polowanie.

Doprawdy, Mis Calvert stawała się plagą ludzkości. Tak przynajmniej mówiły między sobą panie; mężczyzni byli innego zdania i w cichości serca bardzo się oburzali na to, że kobiety obmawiały tak niegodziwie piękną pannę, chociaż to miało być dla jej własnego dobra; podobnież jak dla jej własnego dobra nie życzyły sobie, aby mężczyzni tak bardzo jej nadskakiwali. Nawet Lady Freshfield uważała za niestosowne, jeżeli nie nieprzyzwoite, aby młoda osoba zajmowała tak wybitne stanowisko, i mówiła pewnego dnia do swego ulubieńca, kapitana Luxmoore, że byłoby bardzo pożądanem, aby Miis Calvert raz położyła koniec temu nierozsądnemu postępowaniu i wybrała nareszcie jednego z dwóch.

— Jednego z których dwóch? zapytał kapitan z miną niewiniątka.

— Tufnella, lub Mattisona, brzmiała odpowiedź.

— A! z tych dwóch! powtórzył. Istotnie, takby wypadało; lecz którego?

— Któregokolwiek.

— Lecz czyż to wszystko jedno, ten, czy ów? zapytał kapitan.

— Z pewnością! Jako żona, nauczyłaby się kochać swego męża, jakimkolwiek by był; bo żony zawsze w końcu pokochają swych mężów. Zresztą, jest to ich obowiązkiem, dodała z właściwym sobie brakiem logiczności.

— Być może; chociaż nie jest to zbyt pochlebne dla mężczyzn, którzyby chcieli aby ich kochano dla nich samych.

— Jakto, czyżbyś pan chciał, aby młoda panna wyznała panu swą miłość, zanimbyś jej się oświadczył? zawołała Lady Freshfield, trochę zgorszona.

— Nie; nie lubię osób narzucających się, odrzekł. Lecz przyznaję, że posiadam do tyla słabość właściwą mojej płci, że nie radbym przypuszczać, aby każdy inny mężczyzna mógł z równem powodzeniem zająć moje miejsce. Ja chciałbym mieć przekonanie, że jestem dla ukochanej przeze mnie kobiety jednym i jedynym na świecie.

— Być może, że za daleko się posunęłam, rzekła Lady Freshfield. Pozwalam jej mieć dla jednego z nich więcej sympatyi; lecz niechże ją okaże i położy raz koniec temu nieznośnemu współzawodnictwu. Przypomina mi to ten sławny obraz z Królewskiej Akademii, co to jest takim szkaradnym pomysłem. Ale, ale, zawołała nagle, czemu nie probujesz szczęścia, kapitanie Luxmoore? Beechover jest ładnym mająteczkiem i doskonale by zaokrąglił Ashdown Manor.

— Ja! wzruszył ramionami. Ani trochę nie dbam o Beechover, ani ona nie dba o mnie, Lady Freshfield. Miss Calvert i ja nie zgadzamy się z sobą ani w jednym przedmiocie, o którym mówiliśmy kiedykolwiek, i sądzę, że jeślibyś się jej pani spytała, kogo najgorzej nienawidzi na całym świecie, odpowiedziałaby bez wahania, że mnie. Mamy się ku sobie jak ogień i woda, i moja przeciwniczka nie robi żadnej tajemnicy ze wstrętu, jaki ku mnie czuje.

— W takim razie mógłbyś iść za radą Mrs. Malaprop, rzekła śmiejąc się Lady Freshfield.

— Pole to nie jest dla mnie otwarte, powtórzył kapitan ze spokojem tak lodowatym, że wydawał się prawie wymuszonym i nienaturalnym. Nigdy nie będę wchodził w drogę naszemu apostolicznemu wikaremu, dla którego zdanie Miss Calvert jest wyrocznią, ani też tak dobrodusznej istocie jak Mr. Mattison, który nigdy nie spostrzega, że jej wcale nie rozumie i którego błogiej pewności siebie nic nie jest w stanie zachwiać. Moje pojęcia są zanadto niezależne dla Miss Calvert i nadto jestem dumny, aby stawać w jednym rzędzie z panami Tufnell i Mattison.

— O! rzekła naiwnie Lady Freshfield, nie mów pan tego; jesteś rozumniejszym od nich obydwóch.

Rozmowa powyższa toczyła się na uroczystości, jaką Miss Calvert urządziła w szkółce ludowej, aby urozmaicić długie zimowe wieczory i aby biedne maleństwa mogły rzucić choć jedno spojrzenie w zaczarowaną krainę, jaką dla dziecinnych umysłów tworzy choinka.

Gdy stała tak na małem podwyższeniu, rozdając zabawki i cukierki, Dianna zmieniała się w jakąś dobroczynną wróżkę, jaśniejącą takim czysto kobiecym wdziękiem, taką słodyczą i urokiem, że nie było się czemu dziwić, jeżeli tak Mr. Tufnell, lub Mr. Mattison nabrali najlepszej otuchy i budowali wspaniałe lodowe zamki na gruncie Beechoveru.

Obydwaj nadskakiwali jej jak zwykle, chociaż dzisiaj wikary był w łaskach, a gwiazda Esquire'a ulegała cząstkowemu zaćmieniu. Ona zaś promieniejąca, wyniosła, dumna ze swej władzy, pełna ufności w siebie, a pogardy dla drugiej połowy rodu ludzkiego, kierowała obydwoma końcem swego różowego paluszka i igrała z nimi tak po mistrzowsku, że kolejno szaleli już to z miłości, już to z zazdrości. Nie przeszkadzało jej to jednak spoglądać często ku tej części pokoju, w której kapitan Luxmoore mówił do Lady Freshfield rzeczy, w które sam nie wierzył. Patrzyła na niego nie bardzo łaskawie, to prawda; owszem, raczej z gniewem pięknej kobiety, która chce aby ją uwielbiano, a czuje się upokorzoną. W każdym razie patrzała.

Po chwili kapitan Luxmoore usunął się od Lady Freshfield i powoli, bez pośpiechu, zbliżył się ku pięknej pannie.

— Czy nie mógłbym stać się pani w czemkolwiek użytecznym? zapytał, widząc jak podawała maleńką trąbkę jakiemuś rozpromienionemu malcowi.

— Nie, dziękuję panu, już prawie skończyłam, rzekła Miss Calvert, prostując swą wysmukłą postać. Zresztą nigdy nie przyszłoby mi na myśl,

prosić o pomoc *pana*, dodała ciszej, lekko drżącym głosem.

— Nie? Czemu? zapytał udając naiwnego.

— Kapitan Luxmoore w szkółce ludowej zniżający się do dzieci wieśniaków, rozdający zabawki i cukierki? — Nie, istotnie! toby nie było godne tak dumnego rycerza! zawołała z ironią.

— Czyżbym tu był mniej na swojem miejscu, niż Miss Calvert? zapytał podobnież. Czyżbym nie naśladował jej przykładu, gdybym chciał odgrywać takąż samą komedyą? Cóż pani robisz?

— Spełniam swój obowiązek, rzekła dumnie Julja.

— A przynajmniej uważasz pani za właściwe tak mówić, odparł, lecz wiesz dobrze, że tak nie jest. *Au fond* nie stoimy od siebie tak bardzo daleko.

— Tak daleko, jak jeden biegun od drugiego, kapitanie Luxmoore, odparła z goryczą Miss Calvert, unosząc się może więcej, niż na to pozwalał żart. Następnie, zwacając się do Tufnella z uśmiechem mogącym zawrócić o wiele silniejszą głowę, spytała:

— Powiedz mi, panie Tufnell, czy ja i kapitan Luxmoore nie stanowimy pod każdym względem uderzającego przeciwieństwa?

— Istotnie, nie widzę między państwem wielkiego podobieństwa, wyjąkał Mr. Tufnell, który zarówno obawiał się sprzeciwić młodej królowej towarzystwa, jak się lękał obrazić jednego z jego książąt, i chcąc przypodobać się każdemu z nich, rozgniewał na siebie oboje.

Miss Calvert rzuciła mu piorunujące wejrzenie, które przygasiło prawie cały blask, jaki złocił dotąd ten szczególniej dla niego szczęśliwy dzień.

— Panie Mattison, rzekła, może mi pan powiesz! Czy kapitan Luxmoore i ja jesteśmy do siebie podobni?

— Z pewnością że nie, rzekł Ralf energicznie i śmiejąc się całemi ustami. Pani podobna do Luxmoor'a? Niedorzeczność! Byłoby to bardzo zabawne.

— Ależ ja mówię o podobieństwie przekonań i usposobienia a nie twarzy, zawołała niecierpliwie dziedziczka. Cóż to za tępi ludzie!

— A! rzekł Ralf dobrodusznie, teraz już rozumiem. Doprawdy, że nie wiem; lecz zdaje mi się, że nie. Byłoby to dla Luxmoor'a zbyt wielkim zaszczytem.

— Ponieważ nie pragnę być przedmiotem rozprawy, przeto prosiłbym panią, abyś raczyła nadać inny kierunek rozmowie, rzekł kapitan spokojnie, lecz z powagą nadto graniczącą z niezadowoleniem, aby mogła być uważaną za żart. A teraz czy mogę pani w czemś dopomódz?

— Ne, odparła szorstko Julja; a kapitan Luxmoore przyjmując jej odmowę ze zwykłą sobie obojętnością, postał jeszcze chwilkę przy choince, jak gdyby przypatrując się wiszacym na niej zabawkom, a następnie powrócił na poprzednie swe stanowisko przy Lady Freshfield.

Nikt nie był do tyla bystrym, aby dostrzedz jak się Miss Calvert zarumieniła i jak jej ręce zadrżały, gdy człowiek, którego zaszczycała rozmową, tak chłodno się od niej odwrócił — nikt, z wyjątkiem może niego samego. A on, obserwując ją ciągle, choć nie pokazując po sobie że na nią patrzy, widział tę źle ukrywaną burzę tak wyraźnie, jak gdyby w miejsce rumieńca gniewu i dreszczu zniecierpliwienia brzmiały gromy i przebiegały błyskawice; widział i czuł pewne, dosyć zresztą naturalne zadowolenie, widząc jak wielką miał władzę nad tą, która tak nadużywała swej władzy nad innymi.

Tymczasem uroczystość zaczęła przybierać inny charakter. Dzieci zostały ustawione w porządku i zaśpiewały krótki hymn na cześć swej „hojnej opiekunki", skomponowany i napisany przez wikarego. Był to nudny utwór bez żadnej wartości, a jednak Mrs. Marsh szepnęła z krokodylowemi łzami w swych ciemnych oczach, że było to tak ładne, jak „Śpiewy bez słów" Mendelsohna i że nie wątpiła, że kochana Julja była tegoż zdania.

Ta ostatnia jednak była więcej zakłopotaną, niż zadowolnioną; pytała siebie, czy też kapitan Luxmoore przypuszczał, że wiedziała naprzód o tym idyotycznym pomyśle i pragnęła gorąco, aby mogła mu powiedzieć jak bardzo jej się to nie podobało. Lecz musiała się zadowolnić własnemi myślami. Kapitan nie zdawał zajmować się ani trochę całą tą historyą i nie przedstawiał jej sposobności ani do wytłómaczenia się, ani do uskarżenia. Było to nieznośne, lecz cóż mogła na to poradzić? Złapała się w sidła, które sama zastawiła, i jeżeli kapitan Luxmoore miał o niej pojęcie gorsze niż kiedykolwiek, musiała znosić skutki swego własnego szaleństwa.

Po hymnie, dzieci zabrały się do odwrotu, dziewczęta dygając, a chłopcy składając paraboliczne ukłony; a gdy doszły do bramy, wydały tak przeraźliwe okrzyki, że konie przy powozach polękały się i stanęły dęba, a osoby nerwowe dostały spazmów. W ten sposób zakończyła się uroczystość a z nią razem i gwiazda wikarego zbladła.

(D. c. n.)

Pragnienie.

Dumka.

O! otwórzcie mi więzienie,
Niechaj ujrzę dnia promienie,
Co w powietrzu drżą!

* * *

Niech nacieszę się swobodą,
I figlarkę moją młodą,
Powitam ze łzą!

* * *

Niech rozwieję jej tęsknotę:
I przypomnę chwile złote —
Przepędzone z nią.

* * *

Potem dajcie mi rumaka,
By mię uniósł lotem ptaka,
Tam gdzie gwiazdy skrzą!

* * *

Chciałbym lecieć tak bez końca,
Wyżej ziemi, wyżej słońca,
W nadpowietrzną toń.

* * *

Coraz wyżej, coraz dalej,
Chłodząc w modrych chmurach fali,
Rozpaloną skroń!

* * *

Wzlecieć tam, gdzie błyskawica,
Z chmur wynurza złote lica,
W pierś zefiry dmą.

* * *

Zapomniawszy o niedoli,
I o sercu co tak boli,
Żyć chwileczką tą!...

Kazimierz Lechnicki.

TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

Niepodobna wyliczać wszystkich fundacyi, jakie pozakładał czcigodny ten kapłan, wspominam tylko o najważniejszych. I tak, między innemi, Bośnia zostająca pod panowaniem tureckiem, nie posiadała wcale seminaryów katolickich i aż do roku 1857 młodzi Bośniacy zniewoleni byli dla pobierania nauk udawać się do Włoch, zkąd najczęściej wracali z zatraconem poczuciem narodowości, zapomniawszy nawet języka ojczystego. Pojmując jak zgubną jest dla sprawy religii ta nieznajomość ojczystej mowy, ksiądz Strossmayer który wkładając mitrę i pierścień biskupi, wziął sobie za godło: *sve za vieru i za domovinu* (wszystko za wiarę i za ojczyznę), przeznaczył z własnych funduszów około 30,000 rs. na założenie seminaryum bośniackiego, w którym trzydziestu młodych Bośniaków pobiera codziennie nauki w języku ojczystym. Biskup Strossmayer przewidywał zawsze i zawsze żywi w sercu nadzieję iż wszyscy Słowianie zostaną wyzwoleni z pod jarzma tureckiego, i dlatego pragnie aby umoralnieniem i oświatą stali się godni wolności. Swoim także kosztem wychowuje w Zagrzebiu młodych Bulgarów unitów; jego także staraniem wznowiono w Rzymie kapitułę słowiańską, zasiadającą przy kościele *San girolamo degli Schiavoni*, a uczony ksiądz kanonik Raczki odbył podróż po Włoszech, co dozwoliło mu ogłosić drukiem ważne swoje prace historyczne.

Tak wielkiej patryotycznej i religijnej gorliwości zawdzięcza czcigodny biskup nadzwyczajną popularność swoją. Nazwisko jego ze czcią powtarzają usta wszystkich Słowian i nawet prawosławni otaczają go najgłębszem uszanowaniem i uznaniem, nazywając *prvi sin naroda* (pierwszym synem narodu).

Najulubieńszem jego marzeniem było założenie w Zagrzebiu Akademii słowiańskiej; poświęcił na ten cel około 100,000 florenów, a dzień jej otwarcia był, jak sam mówi, najpiękniejszym dniem jego życia. Rząd austryacki trzymał się wówczas całkiem odmiennego niż obecnie systemu; zgodnie z nim zabroniono mieszkańcom wywiesić w dzień otwarcia narodowe sztandary i illuminować miasto. Nie było jednak w mocy policyi przeszkodzić owacyi, jaka spotkała *Mecenasa Słowian* za jego przybyciem do Zagrzebia; nie sami tylko katolicy brali w niej udział, prawosławni, Serbowie, Bulgarowie witali go z równie niewysłowionym zapałem. Uroczystość narodowa, której rząd peszteński zabronił na ulicach, odbywała się w sercach miesz-

kańców. Ksiądz Strossmayer został jednogłośnie obrany protektorem Akademii narodowej, i z tytułu jej otwarcia wypowiedział bardzo piękną mowę inauguracyjną, w której przedstawił wzajemny stosunek nauki i religii. Oto krótki wyjątek, traktujący o patryotyzmie chrześciańskim.

„Dzieje narodów wynoszą pod niebiosa patryotów, którzy z zupełnem zaparciem siebie poświęcają się bezgranicznie dla dobra kraju, i tem goręcej go kochają, im jest nieszczęśliwszy, im więcej opuszczony, im mniej ma przyjaciół i obrońców gotowych cierpieć wszystko i życie nawet ponieść zań w ofierze — ale nie ulega zaprzeczeniu, że wielcy ci geniusze z krzyża zaczerpnęli swego ducha poświęcenia i tej abnegacyi, dzięki którym zdołali kraj swój odrodzić. Krzyżowi to nieśmiertelny O'Connel zawdzięczał siłę swoją. Kto tylko zna życie i działalność wielkiego tego męża, wie iż większy wpływ wywierał nietylko w swoim kraju ale i na opinię publiczną w Anglii, niż ci którzy dzierżyli władzę, a to nie wtedy gdy wygłaszał prześliczne swoje mowy i wykazywał starodawne i nowe krzywdy i zniewagi jakich lud jego był ofiarą, ale wówczas gdy jęczał w czarnych otchłaniach więzienia. Ta siła jego, to odblask mocy jaką zaczerpnął u stóp krzyża..."

Jego także wpływom i inicyatywie zawdzięcza byt swój uniwersytet zagrzebski, słowem nie ma fundacyi, nie ma naukowego stowarzyszenia słowiańskiego, w którem nie brałby udziału. Towarzystwa takie w Zara, w Lublanie, w Belgradzie, w Pradze zapisały na liście swoich dobroczyńców nazwisko biskupa Strossmayera. A ileż to dzieł odnoszących się do dziejów Słowiańszczyzny, zostały wydane jego nakładem. Wielbiciel i znawca sztuk pięknych, zgromadził w pałacu biskupim cenną galeryę obrazów najpierwszych mistrzów, i dziś już przekazał ją po śmierci na własność Muzeum narodowego w Zagrzebiu.

Objąwszy biskupstwo diakowarskie, zastał w Diakowie mały, zniszczony kościołek, i zaraz postanowił zbudować odpowiednią katedrę. Jakoż rozpoczął budowę pięknego kościoła w stylu romańskim; zdobiące go freski wykonywane są według rysunków sławnego Overbeck'a.

I czcigodny ten kapłan, tak hojny, gdy chodzi o dobro kraju, tak troskliwie czuwający nad sprawą religii i narodowości, sam poprzestaje na małem, żyjąc skromniej niż prosty niejeden proboszcz wiejski. Szczęśliwa Chorwacya co takiego posiada biskupa!

W sejmie zagrzebskim nie ma stronnictw w właściwem w innych parlamentach słowa tego znaczeniu; tu są tylko dwie gruppy współzawodniczące z sobą patryotyzmem: jedna *konserwatystów*, druga *narodowców*. Konserwatyści poddają się położeniu w jakie wtrąciła kraj ich ugoda austro-węgierska z 1867 roku, starając się tylko wyciągać z niej wszelkie możliwe korzyści przy każdej nastręczającej się sposobności; narodowcy, gorętsi i niecierpliwsi, krzyżują nieraz politykę Wiednia lub Pesztu, broniąc autonomii i narodowości kroackiej. Nie można zaprzeczyć że obecnie Chorwacya używa niezależności i wolności, jakiej długo była pozbawioną, i może rozwijać się swobodnie oczekując świetniejszej przyszłości.

(D. c. n.)

NOWE WYDAWNICTWA.

Przegląd bibliograficzno-archeologiczny, numer 3 zawiera: 1. Zapoznane drogi w sztuce polskiej, przez T. K. Martynowskiego. — 2. O fabrykach i rękodziełach w dawnej Polsce, przez Juliana Kołaczkowskiego. — 3. Cmentarzysko pogańskie we wsi Włoszakowicach w pow. Wschowskim przez A. Kalka. — 4. Wiadomość o kilku niewydanych monetach polskich przez Sew. Tymienieckiego. — 5. Bibliografia naszej prasy za Styczeń, przez Cez. Wilanowskiego. — 6. Kronika. — 7. Odpowiedzi Redakcyi. — 8. Ogłoszenia Księgarsko-Antykwarskie.

Encyklopedyi wychowawczej wyszedł zeszyt siódmy tomu I-go, w którym mieszczą się następujące artykuły: Astronomia, przez I. Kowalczyka. — Ateneum, przez I. K. P. — Atlasy, przez Adolfa Dygasińskiego. — Atlasy zoologiczne, przez Ant. Ślósarskiego. — Augustyn Ś-ty, przez E. St. — Australia, przez E. St. — Austrya, przez S. Z. Cena każdego zeszytu składającego się z pięciu arkuszy druku kop. 40, — z przesyłką pocztową kop. 50. Przedpłata na każdy tom złożony z ośmiu zeszytów wynosi rs. 3 kop. 20 — z przesyłką rs. 4.

Teorya pana Filipa, obrazek przez Jana Zacharyasiewicza, wydany nakładem we Lwowie księgarni Gubrynowicza i Schmidta, jest właściwie komedyą opowiedzianą, w której przesada mniej jest rażącą, zwłaszcza łagodzona trafną grą artystów. Pan Filip, to typ chciwca, głupca i samoluba: — profesor podobny cokolwiek do maniaka ze swą teoryą ducha i materyi, zacny jednak i poczciwy chociaż czasami śmieszny zbytecznie: córka jego, niby niewiniątko, ale oczkami, zapalczywie ciskanemi w okna przeciwległej kamienicy, zdobywa serce zacnego młodzieńca: — młodzian to dzielny, kochający matkę i pracą samoistną zdobywający stanowisko. Pomiędzy to temi osobami odbywa się istna komedya, w której dziwnem zrządzeniem czy losu, czy woli autora, w rzeczach najwidoczniejszych nie mogą się porozumieć i tym sposobem tworzy się zamęt godny sceny teatralnej. Żałować też bardzo należy, że autor zamiast obrazku z pomysłu swego nie napisał komedyjki, bo w obrazku wszystko wygląda zbyt sztywnie i nieprawdopodobnie.

Romans z aktorką, powieść napisana przez Zoryana, a wydana we Lwowie. Jest to praca z talentem napisana, z życiem, serdecznością, z myślą zacną i z wiernem, pięknem obrazowaniem pewnych chwil młodzieńczego żywota. Dlaczego jednak autor nadał jej tytuł romansu z aktorką, trudno zrozumieć. Główna wprawdzie bohaterka aktorka Stanisława, jest zalotnicą namiętną, igrającą z miłością jak z cackiem, którego zniszczenie nic ją nie obchodzi: umiejącą pociągać i rozpłomieniać, ale czyż to same tylko aktorki podobne wady i sztuczki posiadają? Czyż one stanowią główną ich charakterystykę, że Stanisława wybraną zostala jako typ wiernie ją przedstawiający? Wątpić o tem godzi się. Któż nie zna aktorek szanujących swoją godność i nie igrających z miłością jak kot z myszą? Któż nie zna panien z teatrem niemających nic wspólnego, a w salonach i na świecie grających rolę według własnej woli i odpowiednio do okoliczności, z naturalnością dochodzącą do mistrzostwa najwięcej utalentowanych artystek?

Tytuł zatem, choć to rzecz podrzędna, pracę całą bardzo osłabia.

W przeciwieństwie z nią staje Michał, prosty syn wioski, własną pracą, gorącą żądzą nauki, poczciwością serca, zacnością duszy, przy pomocy równie zacnego i poczciwego pana Józefa, obywatela, dźwiga się w świecie i rokuje jak najświetniejsze nadzieje. We Lwowie jako jeszcze gotujący się do egzaminu i pracujący w prasie peryodycznej, poznaje Stanisławę i oczarowany jej wdziękiem i zalotnością, przylega do niej całą miłością swego serca. Stanisławę to bawi, troszkę schlebia, troszkę rozgrzewa, szuka jego towarzystwa, zaloty, nawet uściski i pocałunki przyjmuje chętnie, ale w tem wszystkiem nie widać prawdy, tylko zabawkę niby ślniącą barwą miłości, ale jak pyłek na kwiatku najsłabszym podmuchem mogącą być zdmuchniętą.

Michał, trochę marzyciel, trochę poeta, że wierzy w miłość Stanisławy, nic dziwnego: że odpycha z oburzeniem wszystkie wywody mówiące przeciw pięknej zalotnicy, i to bardzo naturalne, ale że za widoczną zdradę najwstrętniejszą i najniegodziwszą, nie odpłaca natychmiast wzgardą równą przewinieniu, temu się dziwić bardzo należy. Nie usprawiedliwia tego wielkość jego miłości: miłość jest biernem uczuciem, przez oczy wchodzi do duszy, jak stara pieśń powiada, ale to dopiero małe nasionkó, które tylko pod wpływem prawdziwej miłości w kwiat piękny rozkwita. Stanisława nie kochała go naprawdę, miłostkowała, ale nie kochała szczerze i prawdziwie, jakże więc miłość dla niej w Michale mogła dojść do takiej potęgi, jaka jedynie ożywia prawdziwie kochających się? Sztuka choćby najgenialniejsza nie zastąpi nigdy prawdy, serce rozgrzewające się dopiero miłością, może się obałamucać, łudzić, uwodzić, ale tonami hymnu tryumfalnego nie zabrzmi, jak nie zabrzęczy dzwon nieruchomie zawieszony. Sznur musi pociągnąć ręka dzwonnika, serce tylko serce: dzwon pod huraganem burzy czasem jęknie żałośnie i zmilknie natychmiast: szał także serce może poruszyć, ale tylko na chwilę i zaraz przychodzi ocknienie, oprzytomnienie, z zapytaniem: czy to prawda, czy ułuda? Michał zaś kochał z całym zapałem młodzieńczej wyobraźni, nie sponiewieranej, nie zużytej niczem, idealnej, bujającej w niedościgłych wyżynach i w ukochanej widzącej kwiat najpiękniejszy ziemi, anioła zesłanego na pociechę, szczęście i krzepienie biednych wędrowców przykutych do ziemi kajdanami życia. Jakimże więc sposobem mogła w nim rozpromienić się tak gorąca miłość, że zdradę o mało nie opłacił własnem życiem, bo chorobą prawie śmiertelną, z której jedynie dźwiga go Stanisława namówiona przez doktora i znowu odgrywająca komedyą prawdziwej miłości.

Słabość ludzka wiele tu tłomaczyć może, ale Michał nie był słabym. Chłopiec wiejski, który łaknie nauki i dochodzi do pewnego już stanowiska, słabym być nie może, a tembardziej odstrychać się od pracy naukowej dla tego, że go kokietka kochać przestała.

Nadto, autor zdaje się być przeciwnym pomocy dla samouczków i w niej widzi chwilowy upadek Michała. Nie zgadzamy się na to. Prawda, że geniusz przeprze wszystkie przeszkody i wydobędzie się o własnych siłach, ale tysiące talentów pomiędzy włościanami przepada jedynie z braku poparcia i ułatwienia. A jaka to wielka strata dla społeczności, oceni każdy rozważniej na rzeczy patrzący. Społeczność, w której tylko mała cząstka jednostek ma przystęp do światła nauki, podobną jest do gospodarza, który obszary pól zapuszcza na

dzikie pastwisko, a zajmuje się tylko ogrodami okalającemi jego siedzibę.

Pomimo tych ujemnych szczegółków, na potępienie bezwarunkowe nie zasługujących, powieść pana Zoryana mile się czyta a nawet z niemałym zajęciem. Szczególniej cały początek zapoznania się z Michałem, jego stosunek ze wsią, z proboszczem i zacną rodziną pana Józefa, prześlicznie napisany. W dalszym ciągu nie brak życia i pięknego obrazowania, ale brak za to wszelkiej przesady, nienaturalności i owego gonienia za efektami sztucznemi, które zwykle ckliwość budzą i zniechęcają.

Z KRAJU I Z ZAGRAINCY.

✝ Teatr miejscowy od czasu zmiany dyrekcyi nabrał więcej życia i widocznie rozwija starania o podniesienie sceny z upadku. Dawniej z oryginalnie napisaną sztuką niepodobna było się dostać na deski teatralne, ztąd w piszących brak wyrobienia odpowiedniego i tej zręczności francuzkiej umiejącej z niczego coś zrobić. Dziś oryginalna sztuka nie należy do nowości, a nawet występnją i dramata godne ukazania się nawet na scenach najbardziej wymagających. Mamy tu na myśli utwór p. Sienkiewicza p. t. *Na jedną kartę*. Nie jest to praca bez zarzutów i to niemałej wagi dowodem tego zimne jej przyjęcie we Lwowie — zawsze to jednak nasza własność, z naszej wyrosła ziemi jakby na pokazanie, że rozwijać się możemy w każdym kierunku pomyślnie.

Obraz ludowy p. t. *Ława czartowska* ma także w sobie wiele dramatyczności, c już na wskroś jest swojskim, czego o pracy p. Sienkiewicza powiedzieć nie można. Ma i on wady i niedostatki, a jednak jakże chętnie przez publiczność jest przyjmowany. W teatrze prowincyonalnym w ubiegłem lecie był grany przeszło ośmdziesiąt razy i to raz po raz, dzień po dniu i zawsze widzów było pełno jak nabił: — obecnie także na scenie teatru małego już coś do dwudziestu razy był przedstawiony i zawsze o nabycie biletu spieszyć się należało.

Do młodych pisarzy dramatycznych wiele obiecujących policzyć należy pp. Stefana Dąbrowskiego i Leopolda Swiderskiego, których pierwsze występy acz skromne i mniejszych rozmiarów, dobre wydają świadectwo o ich talencie. Przedewszystkiem zaleca je swojskość, miłe niezmiernie obrazowanie typów z pośród nas wyrosłych i humor naturalny wolny od przesady, naciągania i tych dwuznaczników na efekt wyrachowanych, kłócących się wiecznie z przyzwoitością.

Bodaj takiemi na zawsze pozostali!

✝ Kuryer Codzienny donosi o goszczeniu w naszym grodzie pp. Jana Smolara i Michała Hornika, dwóch Serbów dolno-łużyckich, z narodu bardzo nielicznego, bo liczącego zaledwie sto tysięcy ludności, który jedynie siłą woli dotąd przez niemczyznę zduszony nie został i stara się wszelkiemi sposobami zachować swoją odrębność, — chociaż od jedenastu wieków pozbawiony jest niepodległości.

Ogniskiem ruchu narodowego Górnej Łużycy, położonej w Saksonii, jest miasto Budziszyn: Dolnej, położonej w Prusach, miasto Chociebuż.

Maleńki ten kraik, jak oaza wśród niemieckiej pustyni, zrozumiał dobrze, że pracą usilną, wytrwałą i zbiorową cudów dokonać można.

To też widzimy skutki świetne tej zbiorowej i wytrwałej pracy na polu języka i literatury.

Widzimy tam więc z mozołem i poświęceniem wielkiem wydawane gazety, a wreszcie i od 1847 roku towarzystwo p. n. „Macierzy serbskiej”, zawiązane celem wydawania książek, których dotąd wypuszczono już 30.

W 1880 r. za inicyatywą właśnie Jana Smolara i Michała Hornika założono w Budziszynie „Towarzystwo pomocy naukowej”, aby przysposobić więcej pracowników narodowi na polu słowiańskiej prasy.

Fundusze jednak jakie posiada Towarzystwo są arcy szczupłe a pan Hornik i Smolar postanowili poszukać między słowiańską bracią dla Towarzystwa poparcia.

Nie wątpimy, że im się to uda w zupełności.

Tymczasem witamy ich z staropolskiem „Szczęść Boże” na naszym gruncie.

Pani Smolarowa, żona przybyłego, zbiera materyały do odczytu o Królestwie Polskiem, który zamierza wygłosić po powrocie do ojczystego gniazda.

✝ Wszystkie pisma zagraniczne zamieściły opisy wspaniałej uroczystości zaślubin ks. Wilhelma, syna pruskiego następcy tronu, z księżniczką Wiktoryą Augustą Szlezwig-Holsztyńską, córką zmarłego pretendenta do Księztwa Augustenburgskiego. Ks. Wilhelm liczy dopiero lat 22 i bardzo jest lubiony przez Berlińczyków, a i zmarły ojciec panny młodej, który ważną odegrał rolę w 1864 roku w wojnie szlezwicko-holsztyńskiej, wysoko jest ceniony przez Niemców. Siostra jego, ks. Henryka, zaślubiła jak wiadomo sławnego w Niemczech chirurga, doktora Esmarch, i przez ten mezalians zjednała całej rodzinie ogromną popularność w całem mieszczaństwie. Wszystko to razem sprawiło, że cała ludność berlińska przyjęła serdeczny udział w uroczystości dworskiej, objawiając radość swoją i współczucie pełnemi zapału okrzykami.

Ulice i place publiczne przyozdobiono wspaniale festonami i kwiatami, wszędzie powiewały kolorowe flagi, ludność wszystkich stanów wyległa na ulice, niecierpliwie oczekując huku dział mających zwiastować uroczystą chwilę. Gdy księżniczka Wiktorya wjechała do Berlina przez bramę tryumfalną, a narzeczony wyjechał konno na jej spotkanie, rozległy się w powietrzu pełne zapału okrzyki; wzruszona księżniczka miała łzy w oczach, twarz księcia Wilhelma błyszczała radością i szczęściem. Cały orszak w wspaniałych powozach, poprzedzonych jeźdźcami na koniach z czarno-białemi pióropuszami, imponujące sprawiał wrażenie; gdy powozy wjechały w bramę zamkową, zagrzmiało 72 salw działowych. Wieczorem cały Berlin zajaśniał wspaniałą illuminacyą.

Nazajutrz, o 6 wieczorem, odbył się w kaplicy zamkowej ślub, który dawał jeneralny superintendent, dr. Kögell; 36 salw działowych zwiastowało tę radośną nowinę zgromadzonej przed zamkiem publiczności. Cały obchód weselny odbył się według starodawnego ceremoniału, w połączeniu z tegoczesnym przepychem. Dwór pruski, oszczędny i wyrachowany w codziennem życiu, przy podobnych uroczystościach rozwija całe bogactwo i świetność średniowiecznych obchodów.

Już o w pół do 5-ej olbrzymia galerya, którą miał przechodzić cały pochód do kaplicy starego zamku, była natłoczona przez tłum osób, które otrzymały pozwolenie przypatrzenia się uroczystości weselnej. Powszechną uwagę zwracali paziowie przybrani w strój średniowieczny: w szaty czerwone, bogate haftowane srebrem, białe spodnie i berety aksamitne z wielkiemi białemi piórami, Przez tę galeryę przenoszono także klejnoty korony, mianowicie: koronę przeznaczoną dla narzeczonej i mniejsze dla innych księżnych; przenosił je podskarbi i sześciu jego pomocników. W domu Hohenzolernów panuje odwieczny zwyczaj, że każdej księżnej krwi, biorącej ślub w Berlinie, królowa pruska wkłada na głowę koronę brylantową wyłącznie do takich obchodów przeznaczoną, i teraz więc cesarzowa Augusta ozdobiła nią głowę przyszłej swej wnuczki, poczem cały pochód udał się do kaplicy.

Najpierw szedł wielki ochmistrz dworu, za nim parami szambelani i kamerjunkrowie, dalej kawalerowie, dwor panny młodej, po nich narzeczeni. Za młodą parą z kolei wszyscy panujący. Ks Wiktorya miała suknię białą atłasową, której przód zdobiły nader kosztowne koronki przerabiane srebrem i przepinane bukiecikami z mirtu i kwiatów pomarańczowych. Stanik i tren z przepysznej srebrnej lamy; tren blizko 9 łokci długi był dokoła bogato haftowany srebrem i przepinany wianeczkami ślubnych kwiatów. Niosły go cztery frejliny dworu. Wielki welon ślubny z przepysznej, srebrem przerabianej koronki. Ks. Wilhelm miał na sobie mundur kapitana i wielką żółtą wstęgę orderu Orła Czarnego. Cesarza Wilhema poprzedzali liczni dostojnicy dworu; prowadził on królowę saską i matkę panny młodej. Królowa saska miała suknię z białej materyi przerabianej złotem, tren ponsowy aksamitny, bogato zahaftowany złotem, i nadzwyczaj kosztowne klejnoty; księżna szlezwig-holsztyńska miała suknię bardzo podobną, tylko nie tak drogocenne klejnoty.

Cesarzowę prowadził król saski i ks. Walii. Cesarzowa miała suknię z białej, złotem tkanej brokatelli, z trenem ze złotej lamy, obszytym sobolami; głowa, stanik i przód sukni lśniły od mnóstwa brylantów. Tren, 7 łokci długi, niosły cztery damy dworu. Za cesarzową postępowała następczyni tronu, córka królowej angielskiej; prowadził ją książę Chrystyan szlezwicko-holsztyński, stryj panny młodej i szwedzki następca tronu. Następczyni tronu miała suknię z białej materyi przerabianej złotem, tren ze złotej lamy haftowanej w bronzo we aksamitne kwiaty. Tren nieśli paziowie. Następca tronu prowadził księżnę badeńską i bratowę swoją, księżnę szlezwicką. Za nimi postępował liczny szereg książąt, księżnych i dostojnych osób. Z książąt odznaczali się pięknością: książę Aosta brat króla Humberta, i następca tronu szwedzkiego — a przecież to tylko prawnuk prostego grenadiera francuzkiego.

W chwili zamiany obrączek wyznaczony adjutant dał znak poruszając świecą w otwartem oknie i zaraz rozległo się 36 strzałów armatnich. Po ślubie cały orszak przeszedł znów przez galeryę do białej sali, gdzie młoda para przyjmowała powinszowania, których tłomaczem były głębokie, milczące ukłony. Po tym ceremoniale nastąpiła uroczysta uczta do której zasiadł tylko dwór ze swemi gośćmi, trwająca pół godziny, dla innych zaproszonych porozstawiane były bufety.

Najoryginalniejszą częścią uroczystego obchodu był tak zwany „taniec z pochodniami”, który tylko na dworze berlińskim zobaczyć można podczas obchodu zaślubin króla lub rodziny królewskiej. Przyjmuje w nim udział dwunastu ministrów: każdy trzyma w ręku wielką świecę woskową, zapaloną, oprawną w lichtarz srebrny, opatrzony jakby dużym srebrnym talerzykiem, i parami, w takt po-

loneza suną poważnie do koła sali. Przy drugim obchodzie młoda para postępuje za ministrami, później panna młoda z cesarzem, pan młody z cesarzową, następnie młoda para z królewską parą saską, poczem znów oboje po dwie na raz osoby zapraszają do tańca. Łatwo sobie wyobrazić jak śmiesznie wyglądają w tym korowodzie poważni, często posiwiali ministrowie i jak oryginalny ten zwyczaj miłym być musi dla zniewolonych brać w nim udział. Dotąd jeden tylko książę Bismarck potrafił zawsze wyłamywać się od dziwnego tego obowiązku i nigdy jeszcze nie przyjmował udziału w tańcu z pochodniami.

Po skończonym obchodzie ministrowie odprowadzają młodą parę do ich apartamentów; tam paziowie odbierają od nich i gaszą pochodnie.

Drugim równie oryginalnym zwyczajem, zachowywanym dotąd na dworze pruskim, jest rozdawanie podwiązki panny młodej. Dawniej rzeczywiście cięto na kawałki podwiązkę i rozdawano młodzieży, obecnie wielka ochmistrzyni trzyma koszyczek pełen niezliczonej liczby kawałków wstążki z haftowanemi literami panny młodej i rozdaje je młodzieży.

Nazajutrz miało miejsce galowe przedstawienie w teatrze dworskim, na którem obecni byli młodzi małżonkowie i cały dwór, a na trzeci dzień odbył się świetny bal u dworu, na którym liczne pary odtańczyły kilka kadrylów w starodawnych pruskich kostiumach.

+ Na posiedzeniu Towarzystwa naukowego amerykańskiego, odbytem w Nowym-Yorku, (pisze Przyroda i Przemysł) dr. Beard złożył sprawozdanie o licznych doświadczeniach jakie robił na chorych zwanych „skoczkami" (Jumpers). Są to osoby dotknięte szczególniejszem cierpieniem nerwowem, grasującem obecnie epidemicznie w Stanach Nowego Hampshiru, Maine'u i w Kanadzie. Choroba ta polega na wykonywaniu, skutkiem pewnego podrażnienia, mimowolnych najdziwaczniejszych ruchów, na biernem posłuszeństwie dawanym sobie rozkazom i nareszcie na nieprzepartej chęci do naśladownictwa. Za najlżejszem dotknięciem chory podskoczy, przy silniejszem potrąceniu ruchy jego stają się gwałtowniejsze, a przy wzmagającem się podrażnieniu wykonywa dzikie skoki. Każdy rozkaz wydany krótkim i stanowczym głosem, chory powtarza natychmiast i wykonywa. Jeźli stoi np. nad rzeką, a ktoś każe mu się rzucić do wody, krzyknie „skacz w wodę" spełni to niezwłocznie; jeźli każą mu uderzyć kogoś z obecnych, powtórzy „uderz go" i uderzy bez wahania.

Dr. Beard kazał pewnemu skoczkowi rzucić trzymany w ręku scyzoryk; ten dokonał tego z taką siłą, że nożyk uwiązł w belce, powtarzając rozkaz z gwałtownym krzykiem, podobnym do hysterycznego lub epileptycznego. Przed innym skoczkiem, nie posiadającym żadnego wykształcenia, wydeklamował po kilka wierszy Wirgiliusza i Homera: chory, skacząc i wykrzywiając się, jak echo powtarzał każdą zgłoskę. Wszelkie niespodziewane odgłosy, jak wystrzał, trzaśnienie drzwiami, upadek czegoś ciężkiego i t. p. wywołują u skoczków krzyki, drżenie i skoki charakterystyczne. Jeden z nich zarżnął się niedawno, usłyszawszy trzaśnięcie drzwiami gdy się golił. Trzeba jak najstaranniej unikać wszystkiego, co może chorych takich narazić na wstrząśnienie lub wzruszenie, szczególniej też gdy trzymają w ręku ostre jakieś narzędzie, gdyż może to pociągać za sobą nader niebezpieczne następstwa. Skutkiem nadmiernych ruchów wszyscy tacy chorzy są bardzo znużeni i wycieńczeni.

Choroba skoczków zdaje się mieć pewne podobieństwo do zaburzeń psychicznych, jakie panowały epidemicznie w wiekach średnich i dotąd jeszcze zdarzają się niekiedy pod wpływem podnieceń religijnych i politycznych. Taki np. objaw przedstawiali konwulsyoniści z Nowego Hampshiru, którzy kilka lat temu tarzali się całemi godzinami po ziemi podczas obrządków kościelnych, tylko że te ich przypadłości bywały przejściowe, zaś choroba skoczków jest chroniczną i różni się także od drgawek histerycznych, właściwych osobom nerwowym lub wrażliwym. Dzisiejsi skoczkowie są silni, zdolni do ciężkiej pracy, charakteru spokojnego, inteligencyi średniej, a choroba ich jest dziedziczną. W czterech rodzinach naliczono aż 15 takich chorych. Choroba ta dotyka głównie mężczyzn; kobiety rzadko bardzo jej podlegają, a dzieci są od niej wolne do lat czterech.

Zawiadomienie.

Skutkiem zaniedbania nauki języka ojczystego, nie tylko dziś mało kto z młodzieży płci obojga potrafi napisać wypracowanie lub list stylem poprawnym i bez błędów gramatycznych, ale nawet i niektórzy literaci, wydający na świat swoje prace w czasopismach i oddzielnych książkach, popełniają rażące wykroczenia przeciwko zasadom i duchowi języka polskiego. Na błędy tego rodzaju konieczną jest rzeczą zwrócić należytą uwagę, tem bardziej że czepiają się nas one tysiącznemi drogami, ukradkiem i nieświadomie albo też przez naśladowanie owych błędnych drukowanych wzorów. Podjął się tej pracy p. Lud. Szczerbowicz-Wieczór, i zebrawszy w ciągu lat kilku sporą wiązankę rozmaitych błędnych wyrażeń, form i sposobów mówienia, przeważnie z pism peryodycznych warszawskich, ułożył je w systematyczną całość naukową, wykazał źródło i istotę tych błędów, sprostował je i opatrzywszy obszernym wstępem, drukuje obecnie w Płocku p. t. „O skażeniu języka polskiego w prasie". Książka zawierać będzie od 12 do 15 arkuszy druku i wyjdzie na świat w miesiącu lutym 1881 roku. Zawierając zbiór wszystkich prawie najpospolitszych wykroczeń przeciwko językowi polskiemu, które obecnie, ze tak powiemy, niejako unoszą się w powietrzu; wzmiankowane dzieło stanowić będzie koniecznie potrzebny poradnik *dla dzieci, dla młodzieży, dla matek, dla nauczycieli i nauczycielek* i w ogóle dla tych wszystkich, którzy czują pewne braki w swej znajomości mowy ojczystej. Ażeby dać wyobrażenie o treści tej książki przytaczamy tu spis jej rozdziałów.

Rozdział I. Zmienność języków. Trwałość rzeczy i spraw ludzkich. — Znikomość języków. — Języki umarłe. — Wiek języków. — Pobudki zachowania i strzeżenia języka. — Znaczenie języka dla narodowości. — Owocność działań ludzkich w celu zachowania języka. — Przyczyny upadku języków. — Brak literatury. — Wpływy polityczne. — Różnice dyalektyczne. — Wpływy obce. — Smutny przykład szląskiej polszczyzny. — Przejście do następnej kwestyi.

Rozdział II. Język książkowy i mowa ludowa. Stosunek, rozwój i kształcenie obojga. — Język polski. — Dyalekty języka polskiego. — Pomysł zmiany terminologii w klasyfikacyi języków słowiańskich. — Dyalekty języka polskiego chorobliwe czyli wymierające. — Stosunek języka polskiego książkowego do mowy ludowej. — Wpływy obce; trojaka ich przyczyna. — Zwyczaj i nowatorstwo. — Trzy przewodnie względy, obowiązujące piszących i główne prawidła, wynikające z ich zastosowania do leksykologii, morfologii, frazeologii, składni i stylu.

Rozdział III. Język prasy naszej, wyrazy i wyrażenia warszawskie. Obecne skażenie naszego języka literackiego i przyczyny tego zjawiska. — Konieczność wyjścia z obojętności i przerwania milczenia w tym przedmiocie. — Solecyzmy warszawskie w leksykologii i frazeologii. — Łamańce językowe w humorystyce. — Próbki solecyzmów warszawskich w leksykologii i frazeologii humorystycznej.

Rozdział IV. Solecyzmy warszawskie w odmianach wyrazów (morfologii) i *składni.*

Rozdział V. Rusycyzmy.

Rozdział VI. Galicyzmy, germanizmy, wpływy żydowskie, niewłaściwe używanie wyrazów cudzoziemskich.

Dodatek I.

Dodatek II.

Dodatek II.

Książka będzie wydrukowana w ograniczonej liczbie egzemplarzy; ci zaś, którzy zamówią ją przed wyjściem, otrzymają egzemplarz za 1 rubla, a ich nazwiska zostaną wydrukowane na czele książki, jako lista prenumeratorów. Po wyjściu z druku cena będzie podwyższoną i dodane będą nadto koszta przesyłki.

Prenumerować można: w Płocku u autora (ulica Szeroka Nr 55) i w księgarni Wasermana; w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Illustrowanego (Nowolipki Nr 3) i Tygodnika Mód i powieści (Chmielna Nr 20).

OD REDAKCYI.

W kwartale drugim r. b. pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI
w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI
w Warszawie **kwartalnie — k. 75.**
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 2 Марта 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)

przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Dziewczynka spełniła jej żądanie i w parę minut później przybiegł Franciszek.

— Ukryłem karjolkę w gęstwinie, rzekł do pani d'Éricey; czy będzie jeszcze potrzebna?

Powiedziała mu jak rzeczy stały i wkrótce potem Jerzy leżał już w karjolce, otulony kołdrami i szalem. Fermierka uściskała Stefanię płacząc rzewnie.

— Oficer przyrzekł mi że was uchroni od zajadłości swych żołnierzy, choćby wrócili.

— Dał mi kartę bezpieczeństwa, odpowiedziała kobieta.

— Żegnam was, szepnęła pani d'Éricey, nie zapomnę nigdy tego co uczyniliście dla nas.

Wsiadła do karjolki i Franciszek zaciął konia. Stefania pożegnała jeszcze spojrzeniem swych poczciwych gospodarzy i ten domek w którym Jerzy przebywał tak długo. Gdzie teraz znajdzie schronienie opuszczając to w którem te szlachetne serca przyjęły ich tak gościnnie?

V.

Nie było jeszcze zbyt późno, ale mgła otaczała już drzewa i krzaki błękitnawą zasłoną, gdy wjechali w gęstwinę, przez którą musieli się przedzierać, chcąc dostać się do ruin opactwa.

Pierwsze chwile tej ucieczki były straszne dla pani d'Éricey. Zdawało jej się ciągle że widzi żołnierzy albo lufy od karabinów za każdym krzakiem, na każdym zakręcie wązkiej dróżki, lub też że słyszy tentent biegnących prędko koni, śpieszne kroki ścigającego ich wojska, ale jedynie tylko gwałtowne uderzenia jej serca były powodem tak przykrego złudzenia.

Rozproszył je dopiero słaby jęk, wychodzący z ust Jerzego; widząc że cierpi myślała już tylko aby mógł leżeć jak najwygodniej. Uniosła jego głowę, oparła poduszkę na swych kolanach, otoczyła go rękami aby mniej czuł trzęsienie karjolki i łatwiej mógł oddychać. Był to widać dobry pomysł, bo chory zamknął wkrótce oczy i zasnął. Mróz się wzmagał, Stefania zdjęła z głowy włóczkową chustkę, zasłoniła nią twarz Jerzego i przykryła go jeszcze kołdrą leżącą na jej nogach.

Zarośla były coraz gęściejsze, a przerzynały je coraz węższe dróżki, to pnące się w górę, to spuszczające się na dół; ale ta nieprzejrzana okiem gęstwina uspakajała Stefanię; nieprzyjaciel nie śmiałby się w nią zapuszczać. Nakoniec wjechali na pagórek, z którego mogli już dostrzedz cel swej podróży.

Była to mała dolinka otoczona lesistemi wzgórzami; gęste zarośla spuszczały się aż do wązkiej łączki: nad brzegiem małego jeziora, wznosiły się ruiny średniowiecznego opactwa; słaby promień zachodzącego słońca, przedzierając się przez mgłę i gałęzie, pokrywał blado-złotą siecią rozsypujące się mury i wieżyczkę nad kaplicą. Musiało to być zachwycające ustronie na wiosnę, gdy strojny zielenią lasek przeglądał się w przezroczu jeziorka;—nawet w tej chwili zwróciło na siebie uwagę Stefanii swą poetyczną smętnością. Widziała dobrą wróżbę w tym promieniu słońca, witającym ich wśród tych ruin, po dniu tak smutnym i pochmurnym. Taka tu była cisza, taki spokój w tem ustroniu, gdzie pobożni pustelnicy żyli samotnie z myślą o Bogu, iż zdawało się, że po ich zniknięciu nigdy tu ludzka nie postała stopa.

Wkrótce zjechawszy z dość stromej pochyłości, zatrzymali się tuż przy ruinach. Z dawnego wjazdu została tylko piękna arkada, prowadząca na dziedziniec. Franciszek wjechał tam, mówiąc:

— Musimy poszukać jakiegoś schronienia; przywiążę konia i zobaczę gdzie nam będzie najlepiej.

Stefania skinęła głową, pobiegł więc i powrócił wkrótce.

— Fermier miał słuszność; jest tu jeszcze sala, w której będzie można pomieścić pana Jerzego; niech pani sama zobaczy.

Wysiadła z karjolki i weszła przez drzwi okute żelazem do ogromnej sieni sklepionej, na którą wychodziły schody. Weszła na kilka stopni i znalazła się przed drzwiami do okrągłej sali, gdzie zobaczyła jeszcze mało uszkodzony kominek z ciosowego kamienia. Zapewnie musieli tam przychodzić niekiedy myśliwi lub mieszkańcy okoliczni dla zwiedzenia ruin, bo na kominie było trochę popiołu. Okno gotyckie z szybkami oprawnemi w ołów było jeszcze całe i zamykało się dobrze.

— Musimy poprzestać na tem, rzekła pani d'Éricey do Franciszka; trzeba przenieść jak najprędzej pana Jerzego, bo na dworze bardzo zimno.

Nie łatwo było wydostać z karjolki człowieka słusznego wzrostu, niezdolnego niczem ułatwić tego zadania, jednak po odjęciu deski z tyłu karjolki, zdołali wysunąć materac nie wstrząsając bardzo chorego, a następnie Franciszek wziął na ręce Jerzego i zaniósł do okrągłej sali. Położono go blizko kominka i otulono dobrze.

Franciszek pobiegł po drzewo i suche gałęzie, których nie brakowało koło ruin, i wkrótce suty ogień rozweselił salę. Wyjęli wszystką słomę z karjolki i podłożyli pod materac Jerzego, aby go uchronić od zimna i wilgoci kamiennej posadzki. Następnie Franciszek przyniósł koszyk z żywnością, podróżną torbę Stefanii, rondelek i garnuszek. Wprowadził konia do jakiejś izdebki na dole, i wyjął ławkę z karjolki, aby pani d'Éricey miała na czem usiąść. Potem przyniósł jeszcze grubych gałęzi na ogień, zamknął drzwi i zbliżył się do chorego.

Stefania klęcząc przy posłaniu, poiła Jerzego bulionem.

— Jakże się ma komendant? zapytał troskliwie.

— Dotąd nie widzę pogorszenia, odpowiedziała; ale co dalej będzie?...

Westchnęła; przez kilka minut przyglądała się choremu i doznała prawdziwej pociechy gdy sen spokojny skleił mu powieki.

Usiadła na ławeczce, Franciszek przyniósł jej kawałek chleba z serem; nie było nic innego. Stefania przewidziała wszystko co mogło być potrzebne dla Jerzego, dla niej wszystko było dobrem i dostatecznem. Ściemniło się już zupełnie, poczciwy ogrodnik zapalił latarkę i prosił usilnie swą panią, aby udała się na spoczynek.

— Ja teraz czuwać będę, a nad ranem ustąpię pani miejsca.

Stefania zgodziła się na to, czując że potrzebuje oszczędzać siły. Przysunęła ławeczkę do ściany, otuliła się szalem i zamknęła oczy aby prędzej zasnąć. Ale sen, jak wiele rzeczy za któremi się uganiamy, uciekał od niej a przykre i niepokojące myśli snuły się w jej umyśle.

Co się z nimi stanie w tem pustkowiu? Jaka czeka ich przyszłość? Pan von Stredow chciałby zapewnie uchronić ich od niebezpieczeństwa, ale czy będzie mógł ominąć fermę? czy nie nadciągną tam inne oddziały? Czy będzie można przewieźć tam napowrót Jerzego? co się tymczasem z nimi stanie, gdy zostaną tu dłużej bez pomocy, bez koniecznych potrzeb życia, bez możności zaopatrzenia się w żywność? Doktor odjechał, zima tak ciężka, jakaż to straszna teraźniejszość! a czy można się spodziewać lepszej przyszłości, skoro nieprzyjaciel zbliża się coraz więcej do Mans, i stara się przeciąć z nim komunikacyę? Osłabienie wywołane znużeniem, rozprzężenie nerwów, pozbawiło ją na chwilę mocy duszy; rozpacz ją ogarniała.

— Nie zobaczy już ojca! mówiła w myśli pod wpływem gorączkowego rozdrażnienia, tak często towarzyszącego bezsenności; i ojciec jego umrze także. Gdybym przynajmniej mogła pójść za niemi! porzucić wraz z nimi ten świat, uwolnić się od tych ciągłych cierpień przewyższających już moje siły...

Ale zaledwie ta skarga przebrzmiała w jej myśli w duszy jej odezwał się głos inny, głos pociechy i nadziei: Bóg nie zsyła cierpień przewyższających nasze siły. On jest naszą ucieczką, mocą, wspomożeniem, On nie opuszcza wzywających Jego pomocy.

Był to jakby promień światła łagodzący ciemności nocne, jak gojący balsam spływający na ranę; jakiś błogi spokój napełnił serce biednej Stefanii.

— Nie! jeszcze nic nie stracone! zawołała w myśli, Bóg opiekuje się nami, On nas nie opuści! On zlituje się nad nami! potrafi ocalić, choć nam się zdaje że zginąć musimy. O Panie nasz! ojcze! czuwaj nad nami!

Wstała i uklękła przy Jerzym, a z głębi jej duszy popłynęła do nieba gorąca modlitwa. Pochylona wpatrywała się w jego twarz zmienioną, gdy nagle otworzył oczy, i po raz pierwszy dostrzegła w nich iskierkę przytomności. Uśmiech przesunął się po jego bladych ustach, które wymówiły cicho, bardzo cicho:

— Steniu!

Widział ją! poznał! Przejęta radością zaledwie śmiała uwierzyć temu, i rzuciła pytające spojrzenie na Franciszka.

— Tak, odezwał się, odpowiadając na to nieme pytanie! wymówił imię pani, zaczyna już poznawać na co patrzy.

Dwie wielkie łzy zawisły na czarnych rzęsach Stefanii, a potem upadły na rękę Jerzego; otworzył powieki, uśmiech przesunął się znów po jego ustach i ożywił oczy; wyrzekł z prawdziwie dziecięcą tkliwością:

— Droga Steniu! i zasnął.

Pani d'Éricey namówiła Franciszka, aby udał się także na spoczynek.

— Nie miałabym siły odstąpić go teraz, rzekła; wrócisz do niego później.

Nie sprzeciwiał jej się i poszedł spocząć na suchych liściach obok konia.

Dzień już zaczynał świtać, kontury lasu rysowały się na szarem tle nieba, a lód pokrywający jeziorko przybierał srebrne połyski, gdy Franciszek wrócił do sali z naręczem drzewa i położył je ostrożnie na kominie. Pani d'Éricey spała spokojnie, siedząc na słomie przy posłaniu chorego, z głową wspartą o ścianę. Zdjęła z siebie futro i przykrywszy Jerzego położyła na niem rękę, aby się nie zsunęło, a dłoń rannego ujęła instynktownie jej delikatne paluszki.

— Otóż to prawdziwa kobieta! pomyślał poczciwy ogrodnik i łzy stanęły mu w oczach.

Poszedł znów do stajenki, położył przed koniem worek z obrokiem, uzbierał drzewa, a gdy powrócił, Stefania zgarnęła już rozrzuconą słomę i obmywała letnią wodą twarz i ręce rannego.

— Usnęłam, rzekła do Franciszka trochę zawstydzona.

— Tem lepiej, odpowiedział, pani już tak zmieniona, że prawie niepodobna do siebie.

— A czy wiesz, rzekła z promieniejącem radością spojrzeniem, że trzymał mnie za rękę?

— Tak, widziałem. O! mój kochany komendant rozbudzi się z tego otrętwienia, jak powiada doktor. Tylko że obecnie znajdujemy się w dość przykrem położeniu, a kto wie jak długo to potrwać może.

— O! ja nie tracę nadziei, odpowiedziała z zapałem; Bóg jest tak dobry! nie opuści nas.

— Ale co pani jeść będzie? nie mamy nic prócz czarnego chleba i sera.

— A cóż byłoby, Franciszku, gdybyśmy nie mieli i tego? odpowiedziała śmiejąc się.

— O! jeźli pani tak zapatruje się na to, zawołał Franciszek ucieszony jej wesołością, to możemy tu zabawić czas jakiś: dla pana Jerzego mamy wódkę i bulion, a poszukawszy dobrze, znajdę przecie kogóś co mi sprzeda bochenek chleba.

Stefania nakazała mu, aby się nie narażał bez niezbędnej konieczności; mógłby łatwo wpaść w ręce prusaków.

Usiadła przy kominku; powietrze było mroźne ale czyściejsze trochę, niekiedy słońce wydobywało się z za chmury i wpadając przez okno rozweselało pustą salę.

Ale Stefanii wszystko zdawało się weselszem, odkąd zdrowie Jerzego polepszyło się widocznie; nie mówił jeszcze, nadzwyczajne osłabienie nie dozwalało mu zebrać myśli i trzymało w uśpieniu tak duszę jak ciało, jednak rozpraszały się już ciemności zalegające jego umysł, wkrótce więc zapanuje w nim światło! Około czwartej pani d'Éricey zbliżyła się do okna, chcąc zobaczyć jak wygląda jezioro i śniegiem zasłana łączka oświecona promieniami słońca, gdy usłyszała z przerażeniem głosy męzkie. Pobiegła do drzwi przejęta niewysłowioną trwogą, ale poznała głos poczciwego doktora wstępującego już na schody. Z jakąż radością otworzyła mu drzwi i jak serdecznie uścisnęła jego rękę. On zdawał się również uszczęśliwiony.

— Sądziłam że pan pojechał do Mans, rzekła, i tak żałowałam pana.

— Nie; wyjechałem wprawdzie, ale nie tak daleko; czy pani sądzi że mógłbym tak pozostawić moich chorych bez opieki.

— Czy prusacy oddalili się choć trochę.

— Tak, cofnęli się pod Alençon.

— A czy poczciwych fermierów nie spotkało jakie nieszczęście.

— Nie. Pójdźmy teraz do chorego... No! wcale nieźle. Puls lepszy, rany zaczynają zię zabliźniać; widać że nie dokuczyło mu zimno? A! przykryła go pani swojem futrem! oj! te kobiety!

— Okryłam się szalem i zupełnie mi ciepło; ale czy wiesz, doktorze, iż mnie poznał i wymówił moje imię!

— Wybornie! odpowiedział doktor, patrząc z uwielbieniem w te oczy tak wymowne, w których błyszczały łzy radości i rozczulenia, ale nie można sobie obiecywać, że tak prędko odzyska zupełną przytomność; będzie wegetował jeszcze jakiś czas, ale można liczyć prawie z pewnością że wyzdrowieje.

Stefania uścisnęła jego rękę.

— Czy nie mógłby pan powiedzieć nam, gdzie będziemy mogli dostać świec i chleba? zapytała po chwili.

— Chleba! więc pani chciałaby teraz żyć chlebem i wodą!... Ale, ale, to pani zna Krystyana de la Chesnoye?

— Spotkałam go w la Ferté, odpowiedziała zdziwiona tak niespodziewanem zapytaniem, i gdyby nie on, nie byłabym mogła dojechać do Jerzego.

— Tak, to poczciwy chłopiec. Otóż pisał właśnie do rodziców, których pałacyk wznosi się tuż za tym lasem, gdzie jeszcze stoi nasze wojsko. Są to moi dobrzy znajomi i schroniłem się też do nich. Powiedzieli mi zaraz, że odebrali list od syna i że im poleca usilnie jakąś panią. Nie pytając się nawet o nazwisko, zawołałem. „Ale to ta sama! to moja pani Stefania!..." Zaczynają się pytania, objaśnienia; wołają na mnie abym się dowiedział w fermie co się z panią stało; mnie też nie trzeba było tak bardzo o to prosić; jadę, zasięgam po drodze języka, jak się wyrażają wojskowi, i dowiaduję się, że nieprzyjaciel wymaszerował z wioski wieczorem; jadę więc prosto do domu i tam stary mój służący powiada do mnie: „Był tu oficer niemiecki i zostawił tę kartkę do pana." Oto bilecik który mi wręczył.

Stefania wzięła go i przeczytała:

„Proszę powiedzieć pani pielęgnującej chorego, że obecnie żadne nie grozi niebezpieczeństwo; otrzymano rozkaz opuszczenia lasu; niech jednak stara się ztąd wyjechać jak będzie można najśpieszniej; groźna przyszłość czeka Francuzów, wkrótce cały kraj będzie w ręku tych, których ona się obawia."

— To jakiś poczciwy człowiek ten oficer, odezwał się doktor; czy go pani zna?

— Tak, znałam go jeszcze przed wojną, odpowiedziała Stefania.

— Udałem się natychmiast do fermy i tam opowiedziano mi wypadek dnia wczorajszego, pospieszyłem więc tu, aby zobaczyć czy mi pani nie zabiła pacyenta.

Stefania podziękowała mu serdecznie za ten dowód życzliwości.

— Może byłoby lepiej wrócić natychmiast do fermy? zapytała.

— O nie! porywamy panią i chorego.

— Jakto?

— Skoro ranny mógł tu przyjechać szczęśliwie na trzęsącym się wózku, tem łatwiej będzie go można przewieźć w powozie; a właśnie ktoś czeka z nim na dole.. Nie domyśla się pani, kto? Pan de la Chesnoye pragnie spełnić polecenie syna i przyjechał po panią i po pana Jerzego.

— O! mój Boże, jakże jesteś dobrym! zawołała Stefania.

Doktor wyszedł i po chwili wprowadził do sali mężczyznę już niemłodego, z siwemi włosami, który zbliżył się do pani d'Éricey ze swobodą światowego człowieka.

— Zechciej pani przyjąć gościnność, którą ofiarujemy z całego serca, rzekł do niej, sprawi nam to prawdziwą przyjemność, jeżeli będziemy mogli przynieść jakąś ulgę tak pani, jak rannemu. Moja żona i córka oczekują was niecierpliwie.

Chciała odpowiedzieć, ale to przejście nagłe z niepewności i obawy do nadziei odebrało jej siły: podała starcowi rękę i zalała się łzami.

— Przecie! zawołał doktor, cieszą mnie te łzy; przyniosą pani ulgę. Trzeba zanieść chorego aż do powozu, który musieliśmy zostawić tam wyżej.

Pani d'Éricey uspokoiła się wkrótce i podziękowała panu de la Chesnoye. Następnie zaczęła rozmawiać z fermierem który przyszedł po swego konia, chciała aby jej donosili zawsze jak im się powodzi i zapewnić raz jeszcze o swej niezmiennej dla nich przyjaźni.

Franciszek i służący pana de la Chesnoye podnieśli Jerzego wraz materacem i wyszli, aby go tak zanieść aż do powozu. Stefania zatrzymała się chwilkę, chcąc pożegnać ostatniem spojrzeniem to miejsce, gdzie prawie zwątpiła o Opatrzności która tak niespodziewaną zesłała jej pomoc.

Dzień był zimny ale piękny, słońce błyszczące na pogodnem niebie ozłacało ten piękny zimowy krajobraz, uwydatniając wysmukłe kolumny i wieżyczki, oblewało swym blaskiem na pół rozsypane mury starożytnego opactwa. Gałęzie rozłożystych buków odbijały się jak sieć splątana, na śnieżystej osłonie ziemi. Zamarzłe jeziorko błyszczało przybierając tę różowawą barwę którą można niekiedy widzieć na wierzchołkach Alp. Wszystkie te szczegóły wyryły się na zawsze w pamięci pani d'Éricey, podczas gdy żegnała je wdzięcznem spojrzeniem.

Powóz toczył się bardzo wolno; droga była zła, a konie stare i ciężkie.

— Zabrano nam młode, tłómaczył się z uśmiechem pan de la Chesnoye.

Jednak po trzech kwadransach drogi zatrzymali się przed starożytnym zamkiem z wierzyczkami, wznoszącym się w głębi parku. Otworzono drzwi i wybiegło dwóch służących dopomódz do przeniesienia rannego.

W sieni czekały już dwie kobiety; jedna z nich wysoka, już niemłoda, której rysy przypominały Stefanii młodego oficera, powitała ją uprzejmie. Przygotowano już pokój dla Jerzego, a zacna matka Krystyana pamiętała o wszystkiem, co mogło przynieść jakąś ulgę w jego cierpieniach. Położono go na wygodnem łóżku, a gdy zasnął zaprowadzono Stefanię do przeznaczonego dla niej pokoju.

Znalazła tam wyszukane wygody, których tak długo była pozbawiona. Uśmiechnęła się pomyślawszy, że jeszcze parę godzin temu, brakowało jej najpotrzebniejszych rzeczy. Marta, siostra Krystyana, przygotowała dla niej najpiękniejsze swoje negliżowe ubranie; ale też Stefania nie mogła zaprzeczyć, że jej czarna wełniana suknia, dzieląca z nią tak długo wszelkie niewygody, potrzebowała już koniecznie odpoczynku i odświeżenia!

Skoro pani d'Éricey zeszła na obiad z włosami podniesionemi nad czołem i przewiązanemi czarną wstążką, wszyscy przyznali że pomimo swej bladości i widocznego zużenia usprawiedliwia pochwały którem ją Krystyan obsypywał.

Dzięki niewymuszonej serdeczności uprzejmych

gospodarzy, Stefanii szybko upływał czas w ich towarzystwie; oddaliła się jedynie, aby uwolnić Franciszka i zająć miejsce przy łóżku Jerzego. Skoro poczciwy ogrodnik wrócił ugoszczony hojnie, pani de la Chesnoye wymogła na Stefanii, aby udała się na spoczynek, którego tak potrzebowała.

Można sobie wyobrazić z jakiem uniesieniem wzniosła do nieba dziękczynną modlitwę pozostawszy samą; ale pomimo tylu nocy bezsennych, sen nie prędko skleił jej powieki. Przykro jej było że ją rozłączono z chorym, że nie może śledzić jego każdego poruszenia; była nawet chwila w której zamierzała ubrać się i wrócić do niego, ale rozwaga i myśl że już nie grozi mu niebezpieczeństwo, przemogły; położyła się i zasnęła.

Następne dni przeszły spokojnie i przyjemnie. Wszyscy starali się odgadywać życzenia pani d'Éricey; Marta pokochała ją szczerze, a wkrótce oczarowała i pana de la Chesnoye. Jerzy był coraz lepiej; mógł już siedzieć na łóżku wsparty na poduszkach; poznawał już prawdziwie Stefanię i niekiedy pytał się o swege ojca. Jednak osłabienie nie dozwalało mu jeszcze zebrać myśli ani też zdawać sobie sprawy z tego co się koło niego działo.

— Niech pani będzie spokojna, mówił doktor, nadejdzie wreszcie dzień w którym krew zacznie napływać do mózgu, a wtenczas myśl i pamięć będą równie czynne jak przedtem.

Pewnego wieczora, gdy Stefania doglądała Jerzego, pani de la Chesnoye weszła tam do niej. Rozmawiały z sobą, gdy Jerzy się przebudził i zawołał pić. Stefania pobiegła natychmiast do niego napoiła go i poprawiła mu poduszki. Ścigał ją oczyma, a następnie wyrzekł głosem słabym, z wyrazem nieograniczonej czułości:

— Steniu! droga Steniu!

I wyciągnął do niej drżącą z osłabienia rękę.

Pani de la Chesnoye widziała to i dostrzegła także łzę radości błyszczącą w oczach młodei kobiety, a gdy Stefania usiadła napowrót przy niej, położyła rękę na jej ramieniu, mówiąc z macierzyńską czułością.

— Jak on panią kocha! to zapewnie wynagradza ci twoje poświęcenie.

Stefania zrozumiała ją i zbladła.

— Pani się myli, odpowiedziała usiłując mówić spokojnie. Jerzy ma żonę.

— A! mój Boże! zawołała pani de la Chesnoye zmieszana.

— Tak, ale nieszczęściem ożenił się z kobietą niegodną siebie, która złamała mu życie. Co do mnie, byłam po części wychowana przez jego ojca, który później zastępował mi mojego. Jerzy kocha mnie jak pan Krystjan Martę, i nie kochał nigdy inaczej. Będę dostatecznie wynagrodzoną, jeźli, dzięki waszej pomocy, zdołam go ocalić i powrócić ojcu.

W czystem spojrzeniu Stefanii było coś co nie dozwalało powątpiewać o prawdziwości tego co mówiła; pani da la Chesnoye domyśliła się jednak jakie uczucie kryje się w głębi tego kochającego serca, ale nie zdradziła niczem tego przekonania, tylko od tej chwili więcej jeszcze kochała i szanowała Stefanię.

W tydzień później, Stefania wysłała do Bordeaux list zawierający pomyślne wiadomości i obietnicę, że zapewnie wkrótce będzie mogła przewieźć tam Jerzego... Ale niestety! radość tę zatruwała wiadomość, że nieprzyjaciel pustoszył coraz bardziej całą okolicę. Prusacy ściągali tu znaczne siły i trzeba było spodziewać się lada chwila ważniejszej bitwy.

Pewnego dnia rano niespodziewane przybycie Krystyana uszczęśliwiło całą jego rodzinę, jednak ta radość trwała krótko! biedny chłopiec przyjechał tylko na dwie godziny; otrzymał rozkaz wymaszerowania do Mans. Nie wierzył w powodzenie armii francuzkiej i chciał skłonić rodziców, aby wyjechali z tej okolicy.

— Walka będzie zacięta, powiedział, a szczególniej przez wzgląd na siostrę...

Rodzice uznali jego żądanie za tak słuszne, że nie chcieli mu się opierać, pomimo że im żal było opuszczać swój dach rodzinny.

— A cóż się stanie z naszą biedną przyjaciółką? odezwał się ojciec.

— Zdaje mi się, że pan Jerzy może już bez niebezpieczeństwa odbyć dłuższą podróż, odpowiedziała pani de la Chesnoye, a oczekują na nich w Bordeaux.

— Gdzież ona jest? zawołał Krystyan.

Zajęty myślą o swoich, zapomniał z razu o niej.

— Na górze, razem z twoją siostrą, odpowiedziała matka. Była dziś trochę cierpiącą, zemdlała bez widocznego powodu, ale utrzymuje że to nic nie znaczy.

Przywołała natychmiast Martę, a w kilka minut później weszła Stefania uszczęśliwiona że może podziękować Krystjanowi za tak miłe i gościnne przyjęcie w domu jego rodziców.

Gdy weszła do salonu młody oficer spojrzał na nią z zadziwieniem; widział ją przedtem otuloną futrem i szalami, upadającą prawie ze znużenia Teraz jej twarz wściągła, której wypoczynek i nadzieja przywróciły prawie świeżość, jej śliczne wielkie oczy i wysmukła kibić sprawiły na nim bardzo miłe i silne wrażenie.

— Szatańska wojna! pomyślał, odpowiadając na jej podziękowania, byłoby tak przyjemnie pozostać choć kilka dni przy tej zachwycającej kobiecie!

Skoro tylko pani d'Éricey dowiedziała się, jak przykre okoliczności zmuszają rodziców Krystyana do opuszczenia na czas jakiś swej starożytnej siedziby, zwróciła się do nich z prośbą usilną, gorącą, aby pojechali do niej; woleli jednak szukać schronienia bliżej Mans, nie chcąc oddalać się od syna.

Doktor zapewnił że podróż nie zaszkodzi Jerzemu; w zwykłych okolicznościach nie wyzwoliłby go jeszcze z pod swej opieki, ale jak na teraz radził nawet pośpiech, ażeby mógł odpocząć w Mans; obiecał także wystarać się o powóz i przysłać go w oznaczonym czasie.

— Czy wrócę jeszcze pod ten dach rodzinny? czy jeszcze kiedy zobaczę panią? rzekł cicho Krystyan żegnając się ze Stefanią.

— Bóg ocali pana, odpowiedziała, wynagradzając za twoje współczucie dla cierpiących.

— Czy będzie pani modlić się za mnie?

— Z całej duszy, odpowiedziała wzruszona. Zechciej pan przyjąć odemnie ten krzyżyk i niech przyniesie panu szczęście a uchroni od wszystkiego złego.

Krystyan wziął krzyżyk i ucałował rękę która mu go podawała, a matka jego uśmiechnęła się mimowolnie, pomimo łez płynących z jej oczu.

Pożegnanie było bolesne, rozdzierające; Stefania starała się pocieszyć biednych rodziców i siostrę, dopomagała im w przygotowaniach do podróży.

Na trzeci dzień wsadzono Jerzego do powozu, o tyle był już silniejszy, że mógł znieść trudy podróży. Stefania żegnała z rozrzewnieniem tych których kochała jak dawnych przyjaciół gdy w tem nadjechał doktor który także chciał ją pożegnać raz jeszcze. Odprowadził ją na stronę i rzekł poważnie:

— Panu Jerzemu nie grozi już niebezpieczeństwo, po niejakim czasie odzyska zdrowie; ale pani nie jest ani zdrową ani silną; te omdlenia są niedobre; niech pani więcej czuwa nad sobą; trzeba unikać gwałtownych wstrząśnień, więcej dbać o siebie. Radzę to pani jako doktor; nie powinna pani nadużywać sił swoich.

— Wiem, odpowiedziała spokojnie; ale doktorze, nie mam ani dzieci ani nikogo takiego dla którego życie moje mogłoby być potrzebnem, pragnę więc być użyteczną tym których kocham, nie zważając na siebie. Żegnam pana, proszę pisywać do mnie; zachowam dla pana zawsze najszczerszą życzliwość; nie zapomnę nigdy tak pana jak tych poczciwych fermierów, którym zawdzięczamy wszystko, skoro im zawdzięczamy życie Jerzego.

Usiadła przy chorym, żegnana przez wszystkich łzami, i powóz potoczył się drogą wiodącą do Mans, a Stefania wzniosła dziękczynną modlitwę do nieba, że jej dozwoliło spotkać tak szlachetne serca i wrócić staremu przyjacielowi jedynego syna.

CZĘŚĆ CZWARTA.

I.

Po srogiej, upamiętnionej strasznemi klęskami zimie, nastała przepyszna wiosna, jak gdyby Opatrzność chciała osłodzić nędzę i nieszczęścia sprowadzone barbarzyńską wojną. Miłosierdzie ogólne dawało piękny przykład światu i z godną uwielbienia szczodrobliwością spieszyło na pomoc ofiarom spustoszenia. Niebo zdawało się dopomagać tym szlachetnym usiłowaniom, zsyłając na tę nieszczęsną ziemię użyźniające ciepło, łagodny powiew wiatru, pokrywając zielenią i kwiatami jej niezabliźnione jeszcze rany.

Mieszkańcy południowej Francyi nie ponieśli strat materyalnych, a nieszczęścia jakich doznały inne prowincye, były im tylko znane z opowiadania ich synów wracających z wojny. W tych szczęśliwych okolicach nie było wiosek spalonych, zburzonych domów, pól stratowanych stopami wrogów i leżących odłogiem. Wszystko, przeciwnie, świadczyło o dobrobycie i pracowitości mieszkańców, a świeża zieloność otaczała wszystko niewysłowionym urokiem.

Drzewa pokrywały młode listki zdobne jasną, wiosenną barwą, nad brzegami rzeki rosła miękka trawka przetykana różnobarwnemi kwiatkami; wśród zieleniejących pól jaśniała purpurą hiszpańską sparceta obok lnu pokrytego błękitnemi kwiateczkami. Nawet Cewenny przystroiły się krzewami i kobiercem z dzikich irysów, które nęcąc oczy aksamitnemi kielichami miłą wonią roztaczały dokoła.

Zbliżało się już południe, godzina obiadowa w tej okolicy gdzie jeszcze zachowują się dawne zwyczaje zastosowane do klimatu.

Przez otwarte drzwi i okna w pałacu de Roques, wchodziło do pokojów świeże powietrze. Stary hrabia wyszedł na taras; był bardzo zmieniony, pochylił się, a na twarzy nosił widoczne ślady wstrząśnień moralnych przebytych w tym ciężkim roku; pomimo to wyraz jej był pogodny i spokojny. Obejrzał się po ogrodzie, a nie widząc w nim tych których szukał, postąpił kilka kroków dalej, mówiąc półgłosem.

— Gdzież oni poszli?

Odpowiedział mu na to śmiech srebrzysty; dwie

najdroższe mu istoty prowadziły z sobą swobodną wesołą rozmowę, wracając przez dębowy lasek.

— Nadużywamy cierpliwości tego dobrego ojca, odezwała się Stefania; on tam już pewno czeka na nas.

— O! tylko nie udawaj silniejszej jak jesteś w istocie! zawołał Jerzy; gdybym ci pozwolił iść prędzej, byłabyś zmuszoną odpoczywać na tarasie, co nie przyspieszyłoby naszego powrotu.

— Doprawdy, widzę że mi chcesz odpłacić za to, że cię tak tyranizowałam w czasie twej choroby.

— O! zawołał wesoło, albożto mężczyzna może kiedykolwiek dorównać pod tym względem kobiecie.

Weszli do ogrodu. Stefania spostrzegła hrabiego na tarasie i szybko pobiegła naprzeciwko niego; starzec przyciskając ją do piersi uczuł gwałtowne i nierówne uderzenia jej serca i spostrzegł, że potrzebowała wesprzéć się na jego ramieniu.

— Jerzy nie jest dość surowym dla ciebie, powiedział, widzę że ja będę musiał użyć mojej powagi na poskromienie twego nieposłuszeństwa; przyznaj sama jak przestępujesz nierozważnie przepisy doktora.

— Tak, zmęczyłam się trochę, odpowiedziała z uśmiechem, ale to przejdzie. Pójdę teraz, zaniosę te kwiaty do salonu, wprawdzie jest ich tam już dosyć, ale są tak piękne że nie mogłam oprzeć się pokusie zerwania ich jeszcze więcej; potem przebiorę się i wrócę za chwilkę.

Rzeczywiście w kilka minut później siedzieli już przy stole i rozmawiali spokojnie z tem wewnętrznem zadowolnieniem, jakiego doznają osoby które uniknęły grożącego im nieszczęścia i sądzą się już zupełnie bezpiecznemi. Mogli wreszcie odetchnąć swobodnie i nigdy wiosna nie wydała im się równie piękną. Wprawdzie komuna zamącała im spokój swem wyuzdanem szaleństwem, ale byli daleko od Paryża i nie wątpili że armia zwycięży i porządek zostanie przywrócony.

Skoro wstali od stołu, przyniesiono im listy z poczty; między nimi był także jeden do pani d'Éricey, przysunęła się do okna, zaczęła czytać i zawołała:

— A! pani de la Chesnoye pisze do mnie, i...

— I... przerwał Jerzy, zastosuj się przedewszystkiem do przepisów doktora i połóż się na tej sofce, chodziłaś dziś dużo i powinnaś teraz odpocząć.

Spełniła jego żądanie, ale też dość było spojrzéć na nią, aby przyznać że było zupełnie usprawiedliwione. Ciężkie próby na jakie była wystawiona w zeszłym roku, odebrały jej siły. Stefania zużyła zbyt wiele siły nerwowej i w tej wale w której wola jej zwyciężyła, straciła zdrowie.

Przewiozła Jerzego i jego ojca do Roques, patrzyła z niewysłowionem uczuciem radości jak zwolna wracali do zwykłego trybu życia, a potem, gdy już nie potrzebowała ich pielęgnować, zaczęła się pochylać jak kwiatek długo wystawiony na burzę. Nie leżała w łóżku, ale opanowało ją jakieś ciężkie osłabienie; mdlała często i już nie tak prędko jak dawniej przychodziła do siebie. Szkodziło jej każde najlżejsze wzruszenie; jeżeli poruszyła się żywiej lub chciała dłużej chodzić po ogrodzie, dostawała gwałtownego bicia serca. Przy końcu zimy nie podnosiła się już prawie wcale z szeslonga.

Przywołano doktora; przepisał lekarstwo, zalecił spokój, kazał się strzedz zmęczenia i obiecał że wiosna przyniesie polepszenie.

Rzeczywiście, z nastaniem pięknych dni, gdy leżąc na tarasie mogła oddychać wonnem i ożywczem powietrzem, zdrowie Stefanii polepszyło się widocznie, ale przejrzysta bladość cery i wyszczuplenie niepokoiły Jerzego i dla tego nie przestawał czuwać nad nią troskliwie.

Rany jego zagoiły się już zupełnie, ale doktor osądził że nie powinien jeszcze narażać się na trudy życia publicznego, nie przyjął więc powtórnego wyboru. Czuł zresztą że jest potrzebnym ojcu pochylonemu wiekiem i osłabionemu przebytą chorobą, który teraz wyręczał się nim chętnie w interesach.

— Cóż pisze pani de la Chesnoye? zapytał Jerzy gdy Stefania już położyła się na sofce i zaczęła wkładać do wazonów kwiaty które jej przynosił. Zdajesz się niezupełnie zadowolnioną z odebranych od niej wiadomości.

— O! nie mów tego, Jerzy, byłoby to z mej strony dowodem niewdzięczności! przeciwnie ucieszyło mnie to bardzo. Pani de la Chesnoye pisze, że niewola w Niemczech oddziałała szkodliwie na zdrowie jej syna, a że tam zimno jeszcze, ich poczciwy doktor radzi, ażeby wyjechał na południe Francyi. Krystyan przypomniał sobie zaraz o naszem zaproszeniu i pragnie...

— Zobaczyć ciebie, wszak prawda? rzekł Jerzy. Jakto, więc nasz szlachetny przyjaciel, bohater o którym mówiłaś tak często, przybywa, a ty nie jesteś tem uszczęśliwioną.

— Przeciwnie, drogi Jerzy, tylko... tak nam dobrze było we troje!

Pochylił się aby jej podnieść kwiatek.

— Cóż czynić, rzekł, musimy się zdobyć na trochę wdzięczności; miejmy nadzieję że nasze powietrze wypłaci choć cząstkę tego długu, jaki zaciągnęliśmy względem tych zacnych ludzi.

— Z jakąż radością uścisnę rękę tego szlachetnego młodzieńca! zawołał hrabia.

— Dziś jeszcze odpiszę na ten list, odezwała się Stefania. Doprawdy, wstydzę się mego samolubnego lenistwa. Każę urządzić dla niego pokój tuż obok twojego, Jerzy.

Panowie de Fleynac przebywali teraz ciągle w Roques. W la Belourde był ambulans aż do końca wojny, a że ranni przenieśli tam zjadliwą ospę, dom musiał pozostać jeszcze na długo niezamieszkanym. Obecność ich dozwalała Stefanii przyjąć u siebie Krystyana de la Chesnoye.

Skoro Jerzy i hrabia wyszli z pokoju, Stefania leżąc na sofce wpadła w głębokie zamyślenie. Imię Krystyana przywiodło jej na pamięć wszystkie okropności tej srogiej i nieszczęsnej zimy, wszystko co w ciągu niej przecierpiała. Dreszcz ją przebiegł, ale jednocześnie doznała jakiegoś miłego uczucia, porównywając teraźniejszość z przeszłością. Pod wpływem błogiego rozmarzenia, powtórzyła w myśli swą poranną przechadzkę z Jerzym. Poszli do winnicy wraz z poczciwym Franciszkiem zobaczyć kwitnące już drzewa migdałowe i brzoskwinie pokryte różowemi pączkami. Jakaż świeża zieloność umaiła łączki ciągnące się wzdłuż drogi, strumień płynął tak szybko i z tak miłym szmerem; trzeba było przejść po kamieniach położonych tam przez Franciszka i Stefania przebiegła po nich lekko podtrzymywana przez Jerzego.

— Jak niegdyś! powiedziała ze śmiechem; a Jerzy pochylił wtenczas głowę i już przez całą drogę do winnicy był smutny i zamyślony. Tam dopiero, wydając rozporządzenia, co do wznoszącego się budynku, odzyskał zwykłe usposobienie i był już wesoły gdy wracali do domu.

— Ale te chmurki coraz częściej zasępiają jego czoło, pomyślała Stefania. Co może być tego powodem?

Przyszła jej na myśl Helena, ta niecna istota, która wywarła tak zgubny wpływ na całe życie Jerzego, która go zdradziła, porzuciła, a z którą jednak łączyły go nierozerwalne węzły. Szybko, jak błyskawica, przesunęło się przed wzrokiem jej duszy widzenie, w którem ujrzała się dozgonnie połączoną z Jerzym i wolno jej było poświęcić mu każdą życia swego chwilę.

— Nie przyniosłoby mu to szczęścia, pomyślała, bo nie kocha mnie jak ja go kocham! jestem dla niego tylko siostrą, którą kocha braterskiem uczuciem i pokłada zupełną ufność.

— Czy to prawda? Czy tak jest w istocie? Czy to drżenie jego ręki gdy ujmie dłoń twoją, ten gorący rumieniec który oblał twarz jego kiedy podtrzymywał cię przechodzącą strumień po kamieniach, ten głos wyrażający tyle czułości, a tak odmienny od tego jakim przemawiał do ciebie dawniej, można uważać za objawy spokojnego, braterskiego uczucia?

— O! zawołała w myśli z oburzeniem, to tylko szalone serce moje nasuwa mi takie przypuszczenia! szczęściem Jerzy widzi we mnie tylko, jak dawniej, szczerą i wierną przyjaciółkę.

Poruszyła się na sofce przytulając twarz do poduszki i spostrzegła gałązkę głogu zerwaną dla niej przez Jerzego, wziąwszy ją w rękę czas jakiś napawała się jej miłą wonią. Zdało jej się że widzi na nich jeszcze ślady pałców tak drogiego jej przyjaciela i blado-różowy kwiatek spoczął na jej ustach; potem odsunęła go drżąca i ręka jej opadła na fałdy czarnej sukni. Po chwili powieki jej zamknęły się, oddech stał się spokojnieszym i zasnęła otoczona kwiatami.

Spała już przez kilka minut gdy Jerzy przechodząc przez taras spostrzegł, że zbyt wiele słońca wchodzi do pokoju. Wszedł przez szklane drzwi, chcąc spuścić żaluzye i zobaczył uśpioną Stefanię. Nieprzeparte uczucie popchnęło go ku niej: zbliżył się do niej cicho, ostrożnie i patrzył na nią z wyrazem namiętnej rozpaczy.

— „O! moja jedyna prawdziwa miłości! mówił w myśli, utraciłem cię z własnej winy! wyparłem się ciebie, poświęciłem cię dla bezmyślnego szału, teraz muszę ukrywać przed tobą moje uczucie i moje cierpienia! Nakazuje mi to obowiązek... oby tylko Bóg użyczył mi siły!

Stefania spała jak dziecię, trzymając ciągle w ręku gałązkę głogu; zarumieniona jej twarzyczka była podobną do brzoskwiniowego kwiatu; przez lekko uchylone usta widać było drobne i białe ząbki, śliczne włosy o złotym odbłysku wiły się nad jej czołem w drobne loczki. Upajający wdzięk tej czystej piękności przeniknął aż do głębi serca Jerzego.

Obudziła się nagle i spojrzenia ich spotkały się z sobą. Trwało to zaledwie sekundę, bo Jerzy natychmiast odwrócił głowę. Zobaczył zwracające się ku niemu, z wyrazem niewysłowionej czułości, na pół jeszcze senne oczy i nagły rumieniec występujący na tę milutką twarzyczkę. Czyby odgadła jego tajemnicę?

Nie chcąc się zdradzić, spuścił prędko żaluzye i połajał Stefanię że spała na słońcu.

— Dziękuję, rzekła, nie odwracając głowy.

— Śpij teraz nieostrożne dziecko; niedługo przyjdziemy do ciebie, rzekł odchodząc.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 10.

Dokończenie.

N. 10. Suknia plisowana z upięciem nakształt tuniki. Oryginalne upięcie tunikowe, przytwierdzone z przodu kokardą, zasłaniające jeden bok sukni, z tyłu dopełnione rostym podpiętym brytem jest z aksamitu, spódnica zaś cała zaplisowana odsłonięta zupełnie z jednego boku, na środku z przodu ozdobiona szeroką plisą aksamitną, jest z ciemno zielonej materyi faille. Wykład przy tunice sięgający aż do kokardy, podszyty jest materyą; stanik jedwabny ma kołnierz marynarski, kamizelkę dopełnioną fałdowaniem z materyi i zwierzchnie części mankietów aksamitne.

N. 11. Suknia z tuniką. Wskazanie kroju na arkuszu N. II Fig. 7—8.

Proste linje stębnówki, frendzla z perełek 9 cent. szeroka i przemarszczane drobniutkie bufowanie z tego co suknia materyału, stanowią przyozdobienie. Krój tuniki rozchodzącej się z przodu wraz z wymiarem i odznaczeniem fałd, przedstawia Fig. 7; część górna *a* przez przemarszczenie podług ryc. 11 skrócona jest do 23 cent. Części dolne *b*, w górze zachodzące na siebie, u dołu otwarte, z boków zebrane w fałdy, wpuszczone są na szwach sukni. Fig. 8 daje upięcie tylne złożone z części *c i d*. Długi stanik z baskiną fałdowaną z tyłu, ma z przodu przemarszczony plastron i wielki pelerynowy kołnierz, dopełniony wązkim wykładanym.

N. 14 i 20. Poduszka do kanapy i szlak. Haft turecki złotem.

W N-rze 7 Tygodnika Mód przy ryc. 20--22 opisaliśmy szczegółowo haft turecki złotem; dziś załączone wzory na poduszkę i szlak do serwet, portyer, wałków pod głowę lub t. p. odrobione są w tenże sam sposób. Rycina 20 przedstawia szlak wyszyty na pluszu, poduszka zaś odrobiona jest na atłasie i oszyta szlakiem aksamitnym.

N. 15. Woreczek Pompadour z pluszu.

Model był z pluszu ciemno-bronzowego, odrobiony wypukłą aplikacyą ptaszków, wyciśniętych fabrycznie z papier maché i pokrytych materyą. Boki woreczka oszyte sznurem jedwabnym; takiż sznur jedwabny z kwastami sznelowemi służy do związania woreczka; u dołu dana szeroka koronka robiona ręcznie z mocnych nici.

N. 16. Woreczek Pompadour ozdobiony haftem.

Odrobiony jest z oliwkowego pluszu, takiegoż aksamitu i 13 cent. szerokiego kawałka ciemno ponsowego pluszu, wytłaczanego w deseń. Kontury deseniu wyszyte są bajorkiem złotem i srebrnem, środki zaś odznaczane filozelą w bladych kolorach. U góry i u dołu części haftowanej, naszyta 4 cent. szeroka plisa pluszowa oliwkowa, z czarnym szlaczkiem wyszytym supełkami. Górny brzeg woreczka 8 cent. szeroki dany z aksamitu wziętego podwójnie, przyszytego u dołu riuszą z wstążki atłasowej 3 cent. szerokiej; kokardy dane z takiejże wstążki, brzegi woreczka otacza koronka złota Do założenia przyszyta wstążka 70 cent. długa.

N. 17. Portyera pluszowa ze szlakiem. Deseń na lewej stronie arkusza z krojami.

Materyał: aksamit, atłas, sukno lub t. p. na tło i na aplikacyę, sznureczek jedwabny lub gruby jedwab do wyszycia konturów.

Piękny i efektowny deseń podaliśmy w trzech częściach, wraz z odróżnieniem na wzorze sposobu wyszycia brzegów aplikacyi; na deseniu N. 1 brzegi aplikacyi obszyte są wąziutko ciętą złotą brokatelą przytwierdzoną poprzecznemi ściegami; w tenże sam sposób przyszyta jest taśma jedwabna lub wełniana, dana u góry i u dołu brzegiem szlaku. Pod N. 2 dalszy ciąg deseniu na aplikacyę jedwabną, wyszytą z brzegów grubym jedwabnym sznureczkiem. Cienie dodane są pendzelkiem sepją, ale to odpowiednie jest tylko do materyi w jaskrawych kolorach, na innych można wyszyć cienie grubym jedwabiem lub włóczką stosownie do materyału aplikacyi. Desen N. 3 odpowiedni jako czwarta część deseniu na poduszkę ma aplikacyą w trzech cieniach przyszytą cienkim sznureczkiem i filozelą przeszywaną poprzecznie. Na ryc. 17 widzimy wspaniałą portyerę pluszową ozdobioną szlakiem atłasowym z aplikacyą aksamitną.

N. 18—19. Stanik z przybraniem.

Ryc. 18—19 przedstawia przód i plecy stanika od pięknej czarnej jedwabnej sukni, zdobnej koronką koloru vieil-or. Spódnica nie sięgająca do ziemi, zakończona plisowanemi falbanami, ma draperyę oszytą koronką złożoną z fałdowanego bryta przerzuconego skośnie z przodu. Bok na którym draperya jest opuszczona, jest cały zajęty drobniutkiem bufowaniem, tylne upięcie dane z długiego prostego bryta. Baskina stanika przedłuża się z tyłu frakowo, plecy zaś krajane znacznie dłużej, podniesione są w bufy przypięte kokardą. Przody stanika mają rodzaj przemarszczonego bawetowego plastronu, oszytego koronką, zachodzącego z tyłu pod wykładany kołnierz. Rękawy przybrane odpowiednio.



N. 1—3. Ubrania wizytowe.

N. 1. Suknia z szarfą. N. 2--3. Suknia ze stanikiem i ubieraną spódnicą. Wskazanie kroju draperyi patrz ryc. 35.

N. 23. Czapeczka tiulowa do chrztu.

Zszyta jest z pasków tiulu d'esprit 3 cent. szerokich, łączonych wąziutką wstaweczką do przewleczenia wstążeczki; na denko 7 cent. średnicy liczące fałduje się w kółko pasek tiulu oszyty z brzegów tiulikiem. Pierwszy pasek tiulowy otaczający denko, lekko przymarszczony, liczy u góry po zmarszczeniu 32 cent. drugi 38 cent. długości i jest z tyłu trochę więcej podcięty. Dla nadania potrzebnej formy trzeci pasek nie daje się w około lecz tylko z przodu i liczy 29 cent. długości. Brzegi czepeczka objęte są wstążeczką; riusza, ufałdowana z przodu znacznie suciej niż z tyłu, jest z koronki 2 cent. szerokiej; przepinana rozetkami z kolorowej wstążeczki.

N. 24. Sukieneczka dla dziecka noszonego na ręku.

Uszyta jest z białego kaszmiru formą princesse, lekko wcinaną; wspaniały plastron przedni z białego atłasu, liczy 60 cent długości, szerokości zaś 15 cent. przy wykroju szyi, 13 w pasie, a 33 u dołu i bufowany jest w szerokie bufki przedzielane drobniutkiem płaskiem przemarszczaniem. Poniżej plastronu dana plisa kaszmirowa, 21 cent. szeroka, u dołu wycięta w głębokie zęby podgarnirowane koronką, spadające na 20 cent. szeroką atłasową falbanę. Riusze 3 cent. szerokie z drobniuchno plisowanego kaszmiru dane z boków wzdłuż przodu.

N. 25—26. Sukieneczka do chrztu. Krój na arkuszu N. IX Fig. 29—33 a.

Biała muślinowa sukienka ma cały przód bogato przybrany bufkami, wszywkami haftowanemi 3 cent. szerokiemi, falbankami haftowanemi 10 cent. i koronkami 6 cent. szerokiemi. Układ przybrania wskazuje ryc. 25. Przód i boki sukienki krają się podług fig. 29—30, dopełniając podług miar długości i szerokości; plecy fig. 31 dopełnione są oddzielną częścią spódniczkową wskazaną na fig. 32, która po zmarszczeniu zeszywa się ze stanikiem pod paskiem 3 cent. szerokim.

N. 27—30. Koszulki dla maleńkiego dziecka. Krój na arkuszu N. IV—V Figura 18—21.

Na bieliznę dla maleńkich dzieci najlepiej użyć płótna z cienkich, już używanych koszul, a szwy dawać bardzo płaskie. Tasiemeczka do ściągnia może być nawleczona wprost w obrąbek u wykroju. Przyozdobienie stanowią ząbki, koroneczka lub wyszycie kolorowe.

N. 31. Kaftaniczek z plastronem. Krój na arkuszu N. VI Fig. 22—27.

Uszyty jest z batystu i dopełniony na długośc falbaną 9 cent. szeroką a 90 długą, ozdobioną zakładeczkami; forma plastronu odznaczona jest linją prostą na fig. 22, składają go wszywki haftowane i koronkowe.

N. 32 Kaftaniczek z zakładkami. Krój na arkuszu N. VII Fig. 25—26.

Środkiem przodu zostawiony pasek 2 cent. szeroki, z boków którego zaszyte wąziutkie zakładeczki, na które przy krajaniu trzeba naddać materyału. Rękawki zakończone odpowiednio.

N. 33—36. Kołdra i poduszka haftowana. Patrz Fig. 48—50.

Kołderka do kolebki i poduszka z niebieskiej materyi z prześcieradłem i poszewką haftowana stanowią modele tak piękne iż można je zastosować i dla dorosłej osoby; haft taki wymaga niezmiernej wprawy aby był pięknie odrobiony na tle cieniutkiem

Rycina 33 przedstawia lekko watowaną pikowaną kołderkę, 86 cent. długą 59 szeroką, z prześcieradłem wywiniętem na 10 cent. szerokości. Brzegi prześcieradła zdobi rzucik haftowny podług ryc. 35—36 lub figury 48—50 tudzież kratka ażurowa z wyciągniętych nitek

i koronka 5 cent. szeroka. Poduszka liczy 40 cent. szerokości a 49 długości.



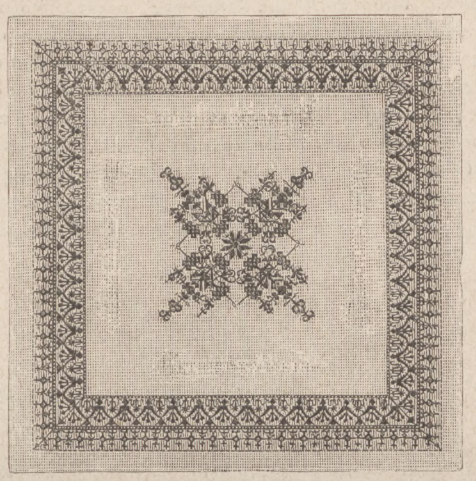
N. 7. Zasłona do okna zsuwana na bok.



N. 4. Serweta z wyszyciem krzyżykowem patrz ryc. 5.

N. 38 — 39. Kosz z przykryciem na bieliznę dla dziecka. Patrz ryc. 22-23 w N. 9.

Pleciony z biało lakierowanej trzciny, liczy 16 cent. wysokości, 42 długości a 34 szerokości; dno koszyczka i przykrycie jest z pasów 10 cent. szerokich robionych szydełkiem z włóczki angielskiej i z pasów kanwy jawa 8 cent. szerokich, z wyszyciem i kratką ażurową. Boki koszyczka od środka powleczone są kanwą. Ryciny 22—23 w N. 9 Tygodnika wskazują wzór roboty szydełkowej i wyszycia na kanwie jawa, których dla braku miejsca nie możemy opisywać szczegółowo. Przykrycie składa się z trzech szydełkowych i dwóch kanwowych pasów, złączonych z sobą i podszytych niebieskim kaszmirem; brzegi otacza frendzla wiązana.



N. 6. Serwetka ze szlakiem.

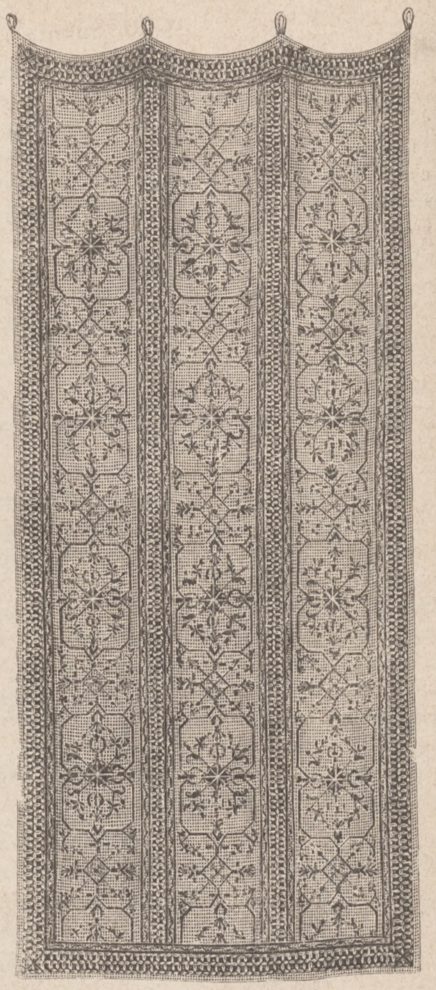


N. 5. Brzeżek do ryc. 4.

N. 40. Poduszka z dodanemi bokami, do noszenia dziecka. Krój na ark. N. XVI Fig. 44.

Fig. 44 podaje formę poduszki znaną dawniej; poszewka zwierzchnia jest z białego batystu, ozdobiona drobno marszczonemi, haftowanemi falbankami, 6 i 8 cent. szerokiemi, 4 cent. szeroką wszywką i bufkami; na szwach przystębnowane wąziutkie pliseczki.

Boki zapięte są środkiem na guziki przysłonięte kokardami z kolorowej wstążki.



N. 8. Zasłona do okien lub stora.

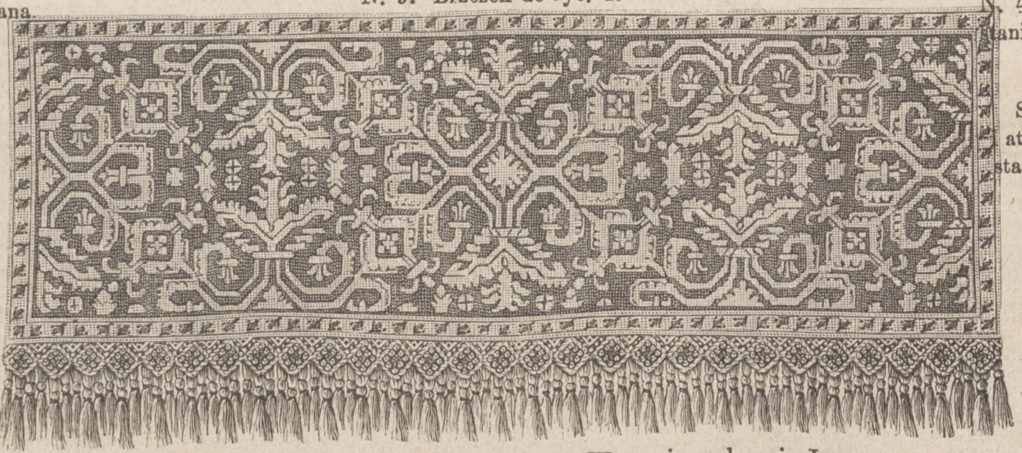
N. 41. Poduszka do noszenia dziecka. Krój na ark. N. XV Fig. 43.

Wymiar odpowiedni jest dla bardzo małego dziecka, można więc zmienić go stosownie do potrzeby. Wierzch i spód poduszki wykrajane z szyrtyngu, rozdzielone są pokładem waty, następnie zaś zszyte z sobą w około brzegów i przepikowane. Przyozdobienie stanowi mocna koronka niciana 6 cent. szeroka; do sznurowania przyszyte są pentlice z tasiemki przez które przewłóczy się kolorowa wstążka 5 cent. szeroka.

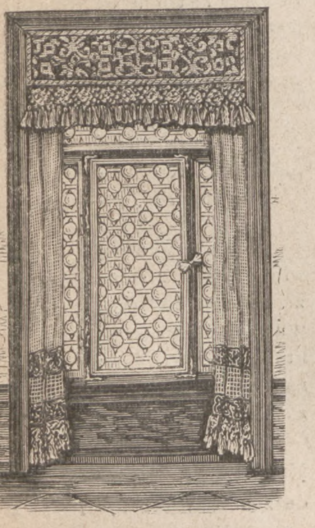
N. 42—45. Uczesania balowe i ubranie głów kwiatami.

N. 46—47. Ubranie wieczorowe. Krój stanika i sukni z trenem na arkuszu N. II Fig. 1—6.

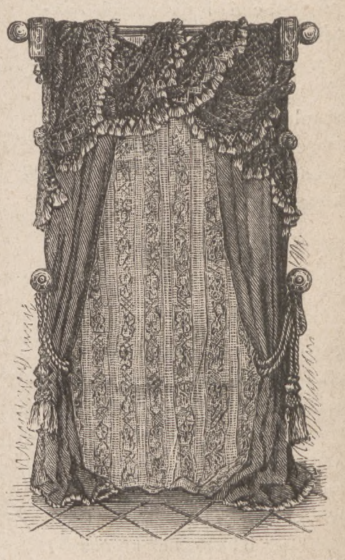
Strojna ta toaleta składa się z aksamitu i atłasu tego samego koloru. Ryc. 46 przedstawia przód stanika z bawetem a zarazem odmienne przybranie przodu sukni, złożone z drobnych falbanek. Na ryc. 47 widzimy suknię z wielkim trenem z brytów prostych, z boków tylko lekko podpiętych, z przodu zaś z upięciem tunikowem, którego krój podaliśmy na figurze 6. Dół sukni z przodu



N. 10. Lambrekin do firanek N. 11 Wyszycie na kanwie Jawa.



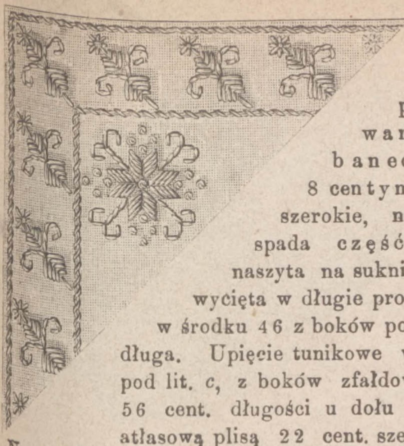
N. 11. Okno z lambrekiną i firanką zsuwaną na boki



N. 9. Okno z firankami draperyą i storą.



N. 12. Serweta z wyszyciem krzyżykowem.



N. 13. Narożnik na haft płaski.

zdobią trzy plisowane falbaneczki po 8 centymetrów szerokie, na które spada część gładka, naszyta na sukni, u dołu wycięta w długie proste zęby, w środku 46 z boków po 57 cent. długa. Upięcie tunikowe wskazane pod lit. c, z boków zfałdowane do 56 cent. długości u dołu oszyte atłasową plisą 22 cent. szeroką na której przyszyta jest plisa aksamitna, równie szeroka, odwinięta w górę nakształt ranwersu, pod-

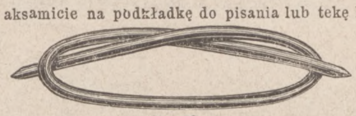


N. 15. Haft złotem na aksamicie na podkładkę do pisania lub tekę Patrs r. 16.

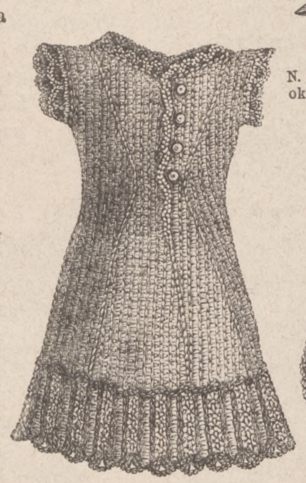


N. 14. Narożnik na haft płaski.

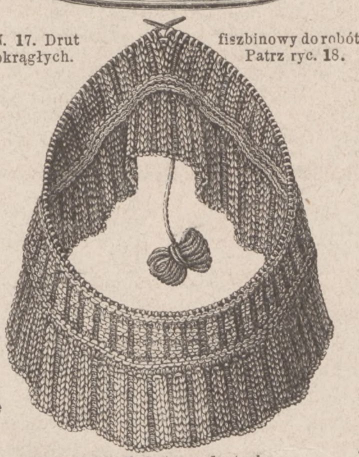
z pod której wysuwa się aksamitna falbanka, 6 i pół cent. szeroka, podszyta atłasem, zaplisowana, a następnie odwijana w zęby przez co odsłonięta jest wspaniała balejeza z żółtawej gipiurowej koronki 9 cent. szerokiej. Pod koronką podszyta muślinowa falbana zakończona koroneczką. Tren od spodu podszyty jest sztywną merlą na 57 cent., wyżej zaś muślinem i na 20 cent. poniżej brytów bocznych, zebrany jest do 70 cent. szerokości przez podszycie od



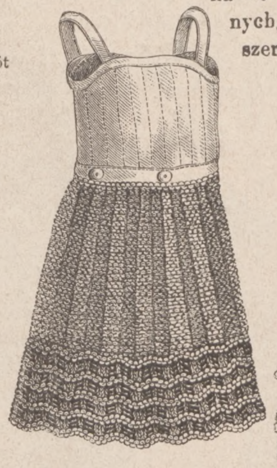
N. 17. Drut fiszbinowy do robót okrągłych. Patrz ryc. 18.



N. 19. Sukieneczka włóczkowa robiona szydełkiem.



N. 18. Robota na drutach fiszbinowych okrągłych.



N. 20. Spódniczka włóczkowa robiona na drutach.



N. 21. Chusteczka z tiulu i koronki.



N. 22. Okrycie balowe.

spodu taśmy przytrzymującej fałdy. Stanik przybrany u góry bertą illuzyową, dopasowywa się podług formy zestawionej na fig. 1 a—5 a; przy plecach fig. 4 baskina szeroko z boków wystająca dana jest z atłasu i podszyta atłasem, a po zfałdowaniu

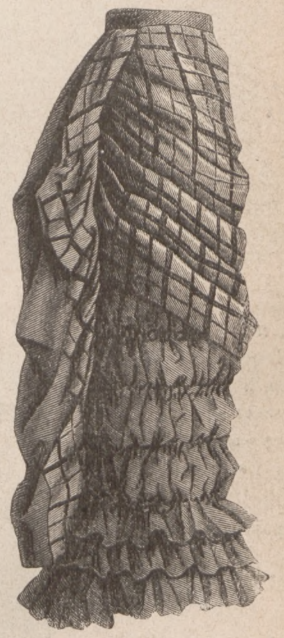
szytego z brzegu listewką 5 c. szeroką. Bryty stanowiące tren złożone są w potrójne fałdy schodzące się do środka; dół trenu obejmuje podwójna atłasowa wypustka ze sznureczkiem,



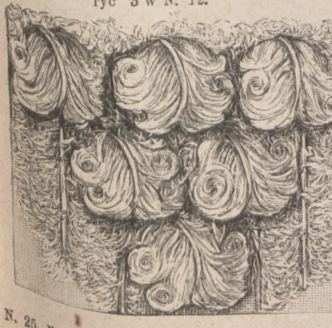
N. 16. Czwarta część haftu złotem do ryc. 15.



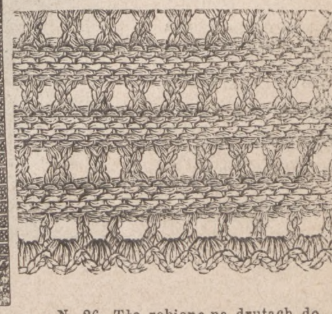
N. 23. Spódnica z szarfą do ubrania ryc 3 w N. 12.



N. 24. Suknia bufowana z tuniką.



N. 25. Naszywanie piórek do r. 30 w N. 12.



N 26. Tło robione na drutach do kaftanika ryc. 10 w N. 12.



N. 27. Kapelusz okrągły z wywiniętem rondem.

zachodzi na boczki. Oba jej boczne brzegi są złożone gwiazdką do gwiazdki zszyte z sobą od spodu, następnie zaś róg dolny oznaczony literą F jest podniesiony w górę i przyczepiony w miejscu literą F oznaczonem. Może

żna również aksamitną baskinę podszyć tylko atłasem.



N. 31. Suknia z muślinową tuniką zdobna koronką i wstążką. N. 32. Suknia ze stanikiem z długą baskiną.



N. 28. Berecik słomkowy.

N. 49. Ubranie balowe z bawetowym stanikiem.

Suknia z jasnej jedwabnej materyi odznacza się bardzo strojnem przybraniem w nowym rodzaju; składają go, prócz drobniutkich plisowanych falbaneczek, danych kilkoma rzędami u dołu, bufki marszczone z krepy tego co suknia koloru, po 7 cent. szerokie, przedzielane pasa-mi materyi 6 cent. szerokiemi. Przód i boki w górze przysłonięte są szalową draperyą, z białego atłasu haftowanego w kolorowy rzucik, stanowiącego ranwersy przy krótkiem upięciu na tylnym

N. 48. Suknia ze stanikiem bufowanym.

Odrobiona z miękkiego, cienkiego wełnianego materyału jak kaszmir, crêpe de laine i t. p. odpowiednia jako strojne wizytowe ubranie, ma



N. 29. Stanik wycięty do sukni balowej. Patrz ryc. 30.

stanik w tym samym kolorze złożony z bufek marszczonych atłasowych



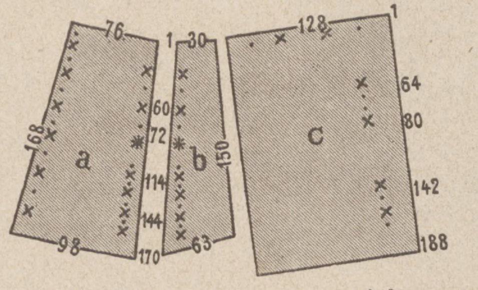
N. 30. Stanik wycięty do sukni balowej patrz ryc. 29.

brycie, danem w górze nad przybraniem sukni. Wyższa połowa draperyj



N. 36. Wałek pod głowę patrz ryc. 37.





N. 35. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 2—3.



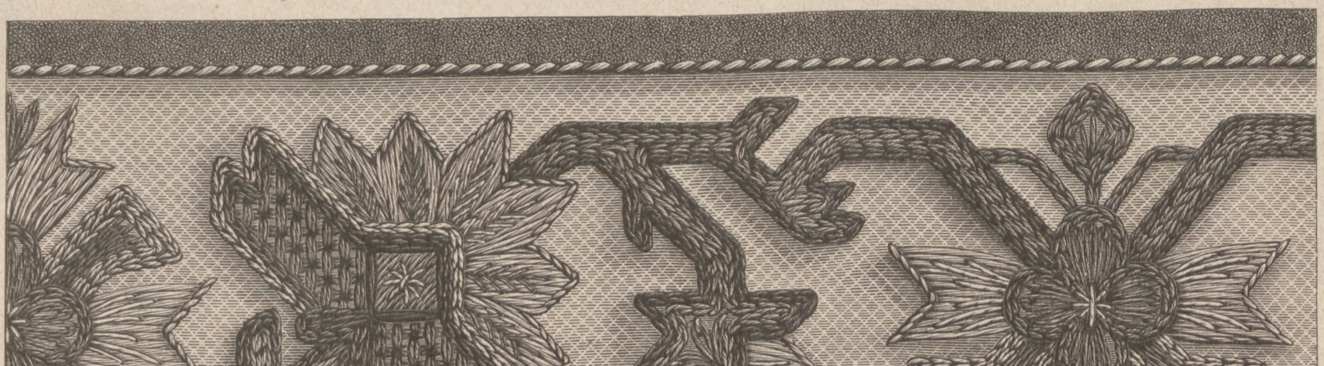
N. 33. Ubranie balowe z tarlatanu. Stanik i falbana naszyta atłasową wstążką $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką.

i pasów koronkowej, żółtawej wszywki 3 cent. szerokiej, bufki są 5 c. a na wcięciu stanu 4 cent. szerokie. Pod szyją riusza koronkowa opuszczona z przodu na kształt żabotu, rękawy ogarnirowane odpowiednio.

N. 34. Ubranie balowe z atłasu z draperyą gazową z malowanemi szlakami.

jest upięta z gładkiej materyi.

Stanik bawetowy sznurowany z tyłu ma bertę krepową przystrojoną kwiatami. Bukiety bladych powojów rzucone fantazyjnie u dołu trenu. Zamiast sortie de bal zarzucony na ramiona szalik illuzyowy.



N. 37. Szlak wyszyty filozelą na kanwie gazowej podłożonej atłasem vieil-or do ryc. 36.